WIDNOKRĘGI

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE POLSKIEJ.

ROK I., ZESZYT XIX. 10. GRUDNIA 1910.

Do nabycia w Administracji (Czarnieckiego 3), księgarniach, biurach dzienników, główniejszych trafikach pozostałe w niewielkiej liczbie egzemplarze X.—XII. zeszytu, potrójnie zwiększonego „Widnokręgów“. Zeszyt ten zawiera w dziale literatury pięknej utwory W. Sieroszewskiego, Wł. Orkana, J. Jedlicza, J. Lemańskiego, F. Gwiżdża, K. Zbierzchowskiego, Rajmunda Szolca a w działach innych: rozprawy Dr. Fr. Konecznego: „Teorja Grunwaldu“, Dr. M. Kridla: „Młodość Mickiewicza“, St. Brzozowskiego: „O znaczeniu wychowawczem literatury angielskiej“, Dr. Ad. Chybińskiego: „Mieczysław Karłowicz“.

TREŚĆ ZESZYTU XIX.:

Od Redakcji.

Niebawem kończymy pierwszy rok wydawnictwa „Widnokręgów“. Poświęcimy mu wraz z zapowiedzią przyszłej pracy, w następnym zezeszycie szersze omówienie, syntetycznie ujmujące nasz program. Już dziś jednakże możemy się podzielić ze zwolennikami „Widnokręgów“ wiadomością, że Redakcja poczyniła staranis, aby „Widnokręgi“, jak nadal odzwierciadlając bezstronnie i niezależnie całokształt myśli polskiej, uwzględniały także i bieżące momenty życia narodowego.

Udało się nam również pozyskać do współpracownictwa prócz dotychczasowych, wybitne siły naukowe i literackie, które grupować się będą w świeżo stworzonych filjach Redakcji w Warszawie i Krakowie.

Z treści poprzednich zeszytów.

ZESZYT XVIII: Jerzy Kurnatowski: Kooperatywa — jej istota i odmiany, Dr. Marjan Borowski: O filozofji Avenarjusza, Jan Kleczyński: Drzewo, Włodzimierz Jampolski: O Żeromskim, Eugenjusz Sieklucki: Nowa modlitwa, Roman Zrębowicz: Po Festiwalu Szopenowskim, Przegląd społeczny: Po sejmie przez l. b., Teatr przez J. Kadena. — Przegląd muzyczny.

WIDNOKRĘGI

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE POLSKIEJ: FILOZOFJI, SPRAWOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE, TEATROWI, MUZYCE I SZTUKOM PLASTYCZNYM, POD KIEROWNICTWEM BRONISŁAWA BIEGELEISENA, LEONA BIEGELEISENA, TADEUSZA DĄBROWSKIEGO, JÓZEFA JEDLICZA, MARJANA OLSZEWSKIEGO I LUDOMIRA RÓŻYCKIEGO.

ROK I., ZESZYT 19. 10. GRUDNIA 1910.

Grzegorz Glass.

Baśń odwieczna.

Dla sztuki żył i jej proroków
i miał czterdzieści siedem roków,

Dyonizyjski szał pęcherza,
chorobę mlecza, niemoc męską,
— dla królewskiego bogozwierza
kapłonem być jest wielką klęską...
Królowa-dama lat dwudziestu —
stan taki znosi bez protestu:

W komunie ducha żyją razem
i dzielą łoże bezowocnie:
— Król sypia z księgą lub obrazem
i tak się dzieje każdonocnie,
lecz w dzień, gdy król się w sadach chłodzi —
w chram Sztuki przenikają — młodzi.

I oto leży mocarz zabit:
dwie smukłe świecą mu gromnice
Królowa wdziała czarny habit
i wyjechała zagranicę
z paziem — (rzecz prosta, że nie sama)
i tu się rodzi nowe drama:

W rok potem orloszumną kiecką
Królowa płoszy sen cmentarzy,
na ręku — nielegalne dziecko!
Cyprysy chwieją się na straży,
niechają głową grzechu dzieje,
Królowej w oczy — kruk się śmieje.

(Podobnie gdy się duch nasz stawa,
krakowskie głupce nas bezczeszczą)
Upiornych szeptów nieciekawa,
— królowa matka z dumą wieszczą
na marmurowej płycie włoskiej
sztyletem żłobi takie głoski:
„Ci gît un cadavre —
nommé Jeune Pologne".
— co się tłumaczy —
Miałeś, chamie, złoty róg,
ostał ci się ino — róg...

TRINITAS.

Jedzie rycerz w złotej zbroi,
chwali kornie trzy zabory:
tu napisze — tam napisze,
że go wielkie koją cisze,
że jest zdrowy, nie zaś chory,
Bogu dzięki — bogu dzięki —
Poznań — Kraków, czy Warszawa
sława wszędy, wszędy — sława!
Cud się troi — świat się troi:
trzykroć wjedziesz jedną bramą —
trzy zapłaty z jednej ręki
bierz za jedno i to samo!
Trójne wszystko: słońce, cienie,
koń i rycerz, śmiech, upiory,
wrogi, durnie i rozstaje,
dróg zaklętych omamienie —
czy tu ludzie czartu służą?
jeden bór — się na trzy bory,
na trzy kraje kraj się kraje...

Krzykniesz — trzy ci echa wtórzą,
jedno „Wierzę“ za trzy „Wierzę“
jeden pacierz — trzy pacierze!
Wrogaś zabił — o trzy staje
na rubiezy zdrów cię wita —
w proch się wali i powstaje
mara „3“ niesamowita...
Bogu dzięki, katu dzięki
za trojakość rezonansów,
czytelników, czytelniczek,
honorarjów i awansów!

PANTHEON POLSKI.

I.

Człowiek wielki — o... nie przeczę, nie przeczę
Giewont jest wielki, Jungfrau jeszcze większa...
Lecz towarzyszu, człowieku, człowiecze,
pozwól, ze sławę, co cię tak przepiększa,
jak ospa (zwana medycznie variola) —
zmażę, aby Duch Wielkiego Karola
wyogromniony w tych czasów rozroście,
tej na Waszem czole prawdy nie czytał,
satyrę pisząc na dzisiejsze goście,
żeście mu strwonili... cały „Kapitał“...

II.

Uczciłem pochodnię. A teraz jej ogarki
w jednej oktawie swobodnie uwiecznię.
Wdzięcznym wam jest. Tak dziwnie, obosiecznie
łamie się po obiedzie wdzięczność... dla kucharki.
Smutno mi, dawce życia, — spadam wam na karki:
— jastrząb was odbiegł — kala was bezpiecznie...
Polak, zwykłem tu gadać z niepartyjnem Słońcem,
w obliczu króli gardząc lada gońca gońcem.

III.

Na początku PŁEĆ była. W niej zarody SŁOWA.
— ŁONO było w LOGOSIE, zaś LOGOS — u PRA — ŁONIE,

BYTY tkwiły w PRZEDBYTACH, młodopolska głowa
siedziała aż po uszy... w PRA — i PRZED-OGONIE
RAJ był GEHENNĄ PŁACZU, PIEKŁO było RAJEM,
PRZYBYSZEWSKI był SZTUKĄ i wzajem, i wzajem,
ZIEMIA-MATKA w kazirodczą CUDÓW GODZINĘ
zaklęła, by GYN-ANDREM była ANDRO-GYNE,
A iżby te PRIAPA rozżagwić katusze,
wetchnął SZATAN w kobietę CHUĆ od CHUCI — DUSZĘ.
Tu kres dwójjedności. Bo odtąd ręka Boża
pcha nas ku separacji od stołu i łoża.

WYSPA ŚMIERCI.

Na wyspie Boecklina
wyrosła malina —
wydawca zaklęty — w jagodę!
Krzew pełen ironji
tam słowa nie broni
i cieniom jest dan na osłodę.

Wyrokiem Charona
poeta, gdy skona
liznąwszy księgarskiej cykuty,
przeprawion na łodzi,
malinę znachodzi,
kosztuje i — pada zatruty!

Dr. Marjan Borowski: O filozofji Ryszarda Avenarjusza.

(Dokończenie).

Metoda czystego doświadczenia doprowadziła Avenarjusza do nowych i ciekawych rezultatów w sprawie t. zw. zjawisk psychicznych. Wiadomo, że podstawy dzisiejszej psychologji, jej pojęcia zasadnicze i metody ciągle jeszcze są sporne i przedstawiają grunt grzązki i bagnisty. Ale właśnie dlatego psychologja nie przestaje być dla półinteligiencji jedną z najbardziej interesujących nauk. Okrywa ją tajemniczy a wiele obiecujący półcień, — w którym ostatecznie każdy może zobaczyć, co sam chce. Słowo „psyche“ to wyraz magiczny. Żadna mistyka nie mogłaby się bez niego dziś obejść.

Pierwotnie była psychologja nauką o duszy, później stała się już tylko nauką o zjawiskach psychicznych, Avenarjusz zaś i ten pogląd poddał surowej i śmiałej krytyce — starając się wykazać, że przyjmowanie zjawisk psychicznych jak n. p. wrażeń, wyobrażeń, pojęć, sądów to tylko mylna a niepotrzebna hipoteza.

Rozwinięcie tych radykalnych zapatrywań na przedmiot psychologji było owocem ostatniego okresu filozoficznej działalności Avenarjusza. Nazywa on często „teorję introjekcji" podstawą swego osobistego poglądu na świat, poglądu, do którego z łatwością — choć niekoniecznie — prowadzi metoda czystego doświadczenia. To też teorja ta o wiele więcej, niż hasło czystego doświadczenia, charakteryzuje go wobec kierunków współczesnej umysłowości.

Spróbuję w całej krótkości podać główne jego myśli. Jak już poprzednio wspomniałem, wedle Avenarjusza niezbędnym składnikiem każdego poglądu na świat jest przyjmowanie zasadniczej koordynacji dwóch członów a mianowicie człona centralnego „ja" oraz przeciwczłona t. j. „otoczenia". Przy wszystkiem, cokolwiek spostrzegamy lub sobie myślimy, konstatujemy zawsze siebie samych, jako podmiot poznający oraz przeciwstawione nam otoczenie czyli świat, względnie jakąś jego część, którą właśnie spostrzegamy lub sobie wyobrażamy.

Avenarjusz idzie teraz dalej. Twierdzi, że ta dwuczłonowa koordynacja zasadnicza stanowi nietylko niezbędny schemat i zasadę naszej świadomości, ale że jest także jej zasadą wystarczającą. Wystarcza ona zupełnie do skonstruowania najogólniejszego pojęcia o świecie. Znaczy to: poza wymienionymi dwoma kompleksami zjawisk a to jednego bogatszego, który nazywamy swem „ja" i drugiego, który zowiemy swem otoczeniem, światem lub przedmiotami — niema potrzeby przyjmować żadnego trzeciego rodzaju istnień lub zjawisk.

Cóż bowiem jest nam dane w doświadczeniu, gdy spostrzegamy n. p. jakieś drzewo? Oto najbardziej skrupulatna analiza wykazuje, że dane są wówczas tylko „ja" i część mego otoczenia, zwana „drzewem". Ponad ten prosty stan rzeczy nie można dopatrzeć się w treści mej świadomości niczego więcej. W szczególności ani introspekcja t. j. badanie samego siebie, ani obserwacja innych ludzi i badania przedmiotowe, nie okazują nam t. zw. zjawisk psychicznych.

Inaczej psychologja potoczna. Przyjmuje ona między „ja" a „drzewem" jeszcze coś trzeciego, pośredniczącego a mianowicie jakiś obraz duchowy drzewa, wrażenie względnie wyobrażenie drzewa, a więc zjawisko psychiczne. Wedle panującej psychologji „ja" spostrzegam „drzewo" tylko za pośrednictwem „wyobrażenia" drzewa. Podmiot uświadamiając sobie drzewo wykonuje pewną czynność psychiczną. Nie można bowiem zadowolić się skonstatowaniem n. p., że przy spostrzeżeniu drzewa kompleks zjawisk, zwany „ja", wzbogaca się tylko o jedno nowe zjawisko. Przyjęcie czynności psychicznych i duchowych obrazów ma na celu nam właśnie wytłumaczyć, w jaki sposób przedmioty zewnętrznego świata wchodzą w skład naszego „ja" i stają się nam świadomymi.

Avenarjusz uważa tego rodzaju hipotezy za bałamutne i zgoła niepotrzebne.

Takie hipotetyczne przyjmowanie jakichś tajemniczych funcji „psychicznych“ i „wyobrażeń“ komplikuje tylko naturalny, zdrowy pogląd na świat i daje powód do mnóstwa scholastycznych rozróżnień. Jestto nigdy niewysychające źródło całkiem beznadziejnych problemów.

I tak, zjawisk psychicznych nie można dostrzec — filozofowie więc zmuszeni byli wyznaczyć im miejsce gdzieś w wnętrzu człowieka, w jego mózgu. Z postępem fizjologji musieli wszakże dalej uciekać z ludzką psyche i duchowemi zjawiskami. Ukryli je zatem już nie w „wnętrzu“, w zwykłem, fizycznem i potocznem znaczeniu tego wyrazu, ale biorąc ten wyraz w jakiemś metafizycznem, a w gruncie rzeczy bezsensownem znaczeniu. Twierdzą ci filozofowie, że można te zjawiska psychiczne dojrzeć okiem ducha t. j. introspekcją. Tymczasem i to twierdzenie nie jest zgodne z tem, co mówi nam czyste, nieuprzedzone doświadczenie. Doświadczenie przy obserwowaniu siebie samych okazuje nam tylko najrozmaitsze treści — treści w formie rzeczowej n. p. drzewo, stół, zimno, ból, lub też takie same treści w formie myślowej, gdy naprzykład coś sobie tylko przypominamy. Przypisywanie zaś człowiekowi nadto jakichś funkcji i zjawisk psychicznych i lokalizowanie ich gdzieś po wewnętrznej, podmiotowej stronie systemu nerwowego jest tylko hipotezą i to błędną hipotezą „introjekcji“.

Na tę fatalną drogę introjekcji wkroczyła myśl ludzka bardzo wcześnie. Hipoteza zjawisk psychicznych miała czas zapuścić w naszym sposobie myślenia i poglądzie na świat tak głębokie korzenie — poparte zresztą przez szereg interesów religijnych i etycznych, — że dzisiaj zjawiska psychiczne nie wydają się nam wcale czemś hipotetycznem. Ale czas najwyższy — głosi Avenarjusz — by pozytywna nauka zawróciła z tej drogi i trzymała się ściśle tego, co podaje nam samo tylko czyste doświadczenie.

Argumentacja Avenarjusza przeciw podstawom dotychczasowej psychologji da się streścić w dwóch tezach: 1. zjawiska psychiczne nie są żadnem doświadczeniem, lecz czemś tylko hipotetycznem, 2. hipoteza tego rodzaju zjawisk jest niepotrzebna a nawet szkodliwa, bo mącąca rzetelną, na doświadczeniu opartą, pracę naukową.

Ten rys metodologiczny wyróżnia pogląd Avenarjusza od wszelkich innych poglądów, których wyniki mogłyby się wydawać podobne. N. p. głęboko różni się od materjalizmu. Materjalizm przyjmuje istnienie tylko materji, „myśl“ zaś uważa jedynie za wytwór lub objaw materji. Dla Avenarjusza jednak „materja“ jest taksamo nieuzasadnioną hipotezą jak i „psyche“. Dla niego prawdziwą wartość mają tylko faktycznie dane nam w doświadczeniu zjawiska i nic ponadto. Również daleki jest Avenarjusz od idealizmu filozoficznego t. j. uważania świata za nasze „wyobrażenie“, jakto głosił Schopenhauer, lub za nasze „wrażenie“ jak początkowo sądził E. Mach. Avenarjusz widzi źródło systemów idealistycznych właśnie w zasadniczym błędzie introjekcji. Przyjęte raz „wnętrze“, „wyobrażenie“, „świadomość“

wyolbrzymiały w rękach idealistycznych filozofów do rozmiarów, obejmujących cały świat.

Doniosłość zapatrywań Avenarjusza tak ze względu na treść ich, jak i uzasadnienie nie ulega kwestji. Żaden filozof lub psycholog nie może nie rozprawić się z tem stanowiskiem. Ale niestety sam Avenarjusz prawie tylko naszkicował dotyczące poglądy i poprzestał na negatywnych wynikach krytyki dotychczasowych pojęć psychologji.

Bez należytej odpowiedzi pozostają n. p. takie dwa zasadnicze pytania. Jaki jest stosunek przedmiotów spostrzeganych zmysłowo czyli „rzeczy" do przedmiotów tylko pomyślanych czyli „myśli"? Jaką jest rola naszego centralnego systemu nerwowego wobec świadomości? — Na to drugie pytanie odpowiada Avenarjusz zgodnie z swą błędną teorją metodologiczną w sposób nader niedostateczny. Oto twierdzi, że należy poprzestać jedynie na stwierdzeniu związku bliżej nieokreślonej „logicznej" zależności między tem, co mamy dane w świadomości a zmianami w systemie nerwowym. Rozumie się, żaden psycholog lub fizjolog nie może się tem zadowolić, jeśli chce w teorji zyskać jakąś wskazówkę dla dalszych badań.

Drugą kwestją prawie się nie zajmuje. Poprostu zdaje się przyjmować dwie klasy przedmiotów t. j. rzeczy i myśli. Obie te klasy stawia o ile możności na równi, nie uwzględniając dostatecznie różnic w ich właściwościach i zachowaniu się. Nie dba też zupełnie o wyjaśnienie ich wzajemnego do siebie stosunku. Ale właśnie przez tę lukę w wywodach Avenarjusza może wypędzona przezeń introjekcja wcisnąć się snadnie napowrót i uzyskać nawet całkiem dobre uzasadnienie.

Rozważmy bowiem bliżej stosunek rzeczy do myśli. Spostrzegam n. p. jakąś okolicę. Kiedyś później przywodzę ją sobie żywo na pamięć. Otóż psychologja panująca ujmuje te dane doświadczalne w taką teorję: spostrzegając okolicę mam przed sobą przedmiot zewnętrzny, realny i bardzo mało odemnie zależny — wyobrażając zaś sobie tę samą okolicę wytwarzam sobie tylko jej obraz wewnętrzny, nierealny i prawie zupełnie odemnie zależny. Wytwarzanie to odbywa się gdzieś w podmiocie i bywa pojmowane bądźto jako czynność „duszy", bądźto jako odświeżanie „śladów" w mózgu człowieka. Natomiast Avenarjusz skłonny jest uznać — zgodnie z naiwnem zapatrywaniem człowieka pierwotnego, — że i przy wyobrażeniu mamy dany przedmiot zewnętrzny i realny. Wyobrażanie to także tylko spostrzeganie, ale spostrzeganie przeomiotów wiotkich, eterycznych, nie powodujących skutków mechanicznych, zależnych bardzo od naszej woli. A zatem podczas gdy psychologja potoczna przyjmuje subjektywny substrat przypomnień, Avenarjusz stawia przedmioty przypomniane czyli myślowe w jednej linji z przedmiotami spostrzeganymi zmysłowo. Myśli, to także zjawiające się nam przedmioty, choć szczególnego rodzaju — nie zaś wytwory lub funkcje ludzkiego podmiotu.

Różnica ta poglądów jest zasadniczą i głęboko w podstawy kultury ludzkiej sięgającą. Krótki rys historyczny tej kwestji uwydatni stanowisko i znaczenie idei Avenarjusza.

Człowiek pierwotny nie czynił zasadniczej różnicy między przedmiotami zmysłowo spostrzeganymi a pomyślanymi lub widzianymi we śnie. Oba te rodzaje przedmiotów uważał za zarówno objektywne i realne. Istnieją dla niego jakby dwa światy: świat rzeczy spostrzeganych, wyraźnych, opornych wobec naszej woli oraz świat przedmiotów eterycznych, mglistych a bardziej naszym chęciom podatnych. Przedmioty obu rodzajów bywają spostrzegane, jako coś z zewnątrz nas pochodzącego. Różnica między spostrzeganiem a przypominaniem sobie czegoś tkwiła w różnicy samychże przedmiotów a nie w sposobie naszego wyobrażenia, jak to przyjmuje obecna psychologja. Wiadomo, że psychologja dzisiejsza dzieli wyobrażenia na czysto bierne i zowie je spostrzegawczemi oraz na bardziej czynne, które zowie odtwórczemi względnie wytwórczemi. Przedmiot wyobrażania pozostaje jeden i ten sam, ale raz uświadamiam go sobie za pomocą wyobrażenia spostrzegawczego a drugi raz za pomocą wyobrażenia odtwórczego.

Człowiek pierwotny nie przypisywał wielkiej roli, ani swej duszy, ani swemu centralnemu systemowi nerwowemu i źródła różnicy między przedmiotami danymi nam spostrzegawczo a danymi nam odtwórczo szukał jedynie w świecie zewnętrznym, objektywnym. Sądził, że to, co mu się ukazuje we śnie, są to najzupełniej realne kopje przedmiotów spostrzeganych na jawie. Kopje te miały wychodzić, czy odrywać się od przedmiotów zmysłowych, krążyć swobodnie w przestrzeni, nawiedzać śpiących i ukazywać się im w sennych marzeniach. Jeżeli n. p. człowiekowi dzikiemu przyśnił się jego przyjaciel, daleko przebywający, tłumaczył to ukazanie się jego teorją, że od przyjaciela oderwał się pewnego rodzaju eteryczny konterfekt (duch!) i przybył, aby się ukazać śpiącemu przyjacielowi i z nim się porozumieć. Przypisując zaś wszystkim przedmiotom zmysłowym takie wiotkie postacie, mogące z nich emanować, krążyć w powietrzu, przelatywać wielkie przestrzenie, — przyjmował też człowiek pierwotny i u siebie coś podobnego. Gdy we śnie przedstawiały mu się dalekie krainy jakieś n. p. raj lub Walhalla, nie umiał sobie tego inaczej wytłumaczyć jak tem, że to jego eteryczny alterego opuszczał ciało podczas snu i udawał się w te dalekie i dziwne krainy. W takich i podobnych poglądach ma ową podstawę wiara w proroczość marzeń sennych. Stary Testament daleki jest n. p. od uważania widziadeł sennych za subjektywny wytwór człowieka. Przeciwnie marzenia te pochodzą z wpływów rzeczy zewnętrznych a nawet zsyłane bywają przez Boga.

I u Homera „myśli", to często nie wytwór człowieka, ale coś, co przychodzi taksamo z zewnątrz, jak zwykłe fizyczne przedmioty. Pomysły bywają uważane za natchnienia ze strony bogów lub podszepty demonów. Także i później w czasach zaczynającego się rozkwitu kultury greckiej, jeden z najtrzeźwiejszych myślicieli, Demokryt tłumaczył marzenia senne przez krążące w powietrzu wypływy i obrazy przedmiotów fizycznych. Jeśli powietrze dokoła śpiącego jest niespokojne, wówczas te delikatne obrazy mącą się i dlatego to przedmioty we śnie widziane są zazwyczaj niewyraźne, o chwiejnych i mglistych zarysach. Nawet u Platona wi-

doczne są reminiscencje tego rodzaju poglądów. Wszak świat „idei“ to świat realny a nawet realniejszy niż konkretne, zmysłowo dostrzegane rzeczy. Wiedza nasza o przedmiotach pojęć pochodzi z spostrzegania i oglądania tych przedmiotów t. j. „idei“ przez duszę ludzką, zanim przyoblekła się w ciało.

W poglądach tych dusza ludzka nie odgrywa jeszcze wcale roli „podmiotu“. Jest przedmiotem między przedmiotami, a mianowicie przedmiotem eterycznym, należącym do żyjącego ciała ludzkiego. Rola jej jest znikoma. U Homera sama dusza, bez ciała, nic nie znaczy. Musi dopiero napić się krwi, aby przyjść nieco do przytomności. U Platona musi przed wstąpieniem w życie oglądać idee, gdyż inaczej nie potrafiłaby pojęć sama wytworzyć.

Dopiero z biegem późniejszych wieków dusza ludzka staje się coraz bardziej podmiotem, poczyna sama z siebie wytwarzać wyobrażenia i pojęcia i stawać się coraz bardziej centralnym węzłem świata. W historji psychologji można śledzić, jak postępowało stopniowo przeniesienie przedmiotów myślowych do wnętrza człowieka i degradowanie ich do subjektywnych wytworów względnie funkcji człowieka — jego duszy lub mózgu. Kierunek ten osiągnął szczyt swego rozwoju w XIX. wieku, tak w idealistycznej filozofji po Kancie, jak i w fizjologicznym materjalizmie tegoż wieku. Właśnie za reakcję przeciw temu kierunkowi uważać należy hasło eliminacji introjekcji, podniesione przez Avenarjusza a także t. zw. antypsychologizm, rozpowszechniający się w nauce logiki i metafizyki.

Zwycięzki pochód subjektywizmu zaczyna się około V. w. przed Chr.. Lekarz z Krotony, Alkmeon, pierwszy, zdaje się, uczył, że spostrzegamy przedmioty dzięki temu, że w naszych narządach zmysłowych tworzą się pewne ich obrazy, oddźwięki i w ogóle jakieś reprodukcje przedmiotów zewnętrznych. Widzimy — ponieważ szklista struktura oka odbija pomniejszony obraz rzeczy zewnętrznej; słyszymy — ponieważ przestrzeń wewnątrz ucha, wypełniona powietrzem, działa jak rezonator i umożliwia odbijanie się głosu. Taką też jest w ogólnych zarysach teorja poznania zmysłowego u Demokryta. Filozof ten dał nadto początek subjektywistycznemu poglądowi na jakości zmyśłowe. Barwy, dźwięki, wonie i t. d. są to jedynie podmiotowe wytwory człowieka — w świecie realnym istnieją tylko atomy o gieometrycznych i mechanicznych jedynie własnościach. Jeszcze dalej poszli sofiści, głosząc, że przedmioty pamięci, fantazji, wiedzy pojęciowej, a w znacznej mierze i przedmioty zmysłowo dostrzegane, to nietylko subjektywne, ale nawet indywidualne wytwory człowieka. Sokrates nie zwalcza wcale subjektywizmu na polu doświadczenia zmysłowego. Uczeń jego, Arystyp twierdzi nawet wyraźnie, że poznajemy zawsze tylko własne stany duchowe. Platon tworzy dziwną, pośredniczącą teorję spostrzegania zmysłowego. Sądzi on, że do widzenia trzeba tak światła od widzianego przedmiotu zewnętrznego, jak i światła, wychodzącego z naszego oka. Aby słyszeć, trzeba dźwięku objektywnego a nadto rezonansu ze strony ucha. Podobny pogląd żywi Arystoteles, dodając tylko pewne nieistotne pojęciowe dystynkcje, w których był mistrzem. Tak Platon, jak i Arystoteles tłumaczą przypomnienia i senne marzenia

pozostałościami „ruchu wewnętrznego“, który wywołany bywa w wnętrzu człowieka wskutek zmysłowego spostrzegania. Substratem tego ruchu jest u Arystotelesa krew a później „pneuma“. (To pneuma odgrywało w późniejszej psychologji aż do czasów nowożytnych rolę psychologicznego factotum).

Decydujące znaczenie podmiotowi czyli duszy ludzkiej przypisywał dopiero Plotyn. Spostrzeganie, to swoista czynność duszy, obudzana jedynie zadrażnieniami organu zmysłowego przez nieznane zresztą bliżej przedmioty wewnętrzne. Dusza syntezuje poszczególne zadrażnienia, ją dochodzące, tworzy z nich całkiem coś nowego — tak jakby z liter odczytywała słowa i zdania. Scholastyka nie dała nowych pomysłów w tej dziedzinie. Przypominanie tłumaczono odciskami, jakie przedmioty spostrzegane pozostawiały w „pneuma“. Te odciski i obrazy *(species intentionales)* były substratem pamięci i marzeń sennych. Nawet przy spostrzeganiu, świadomi jesteśmy bezpośrednio tylko tych odcisków w „duchu“.

Filozofję nowożytną charakteryzuje zupełnie stanowczy zwrot do subjektywizmu. Kartezjusz, opierając się na podobieństwie marzeń sennych do świata, na jawie spostrzeganego, przypuścił, że i ten świat na jawie jest tylko naszem wyobrażeniem, podobnie jak obrazy senne. Przyjmowanie jakiegoś świata realnego, od nas niezależnego jest wedle Kartezjusza tylko wnioskiem i hipotezą — hipotezą, opartą zresztą jedynie na wierze w prawdomówność Boga. Po Kartezjuszu zapanowała we filozofji ogólna tendencja do zupełnego negowania przedmiotów poza nami, poza naszą wyobraźnią. Filozofowie próbowali obchodzić się bez nich i pozostawić im co najwyżej rolę jakiegoś X. Gdy w początkach kultury ludzkiej całe życie umysłowe przyrównywano do s p o s t r z e g a n i a, teraz poczęto uznawać je w całości za w y o b r a ż a n i e, za funkcję duszy, podmiotu, systemu nerwowego. Dawniej uważano wyobrażenia za spostrzeganie podmiotów pewnego szczególnego rodzaju, mianowicie przedmiotów eterycznych, słabych, zamglonych — po Kartezjuszu nawet przedmioty zmysłowo dostrzegane uważa się za wyobrażenia szczególnego rodzaju — za t. w. wyobrażenia spostrzegawcze. „Spostrzeżenie, to tylko prawdziwa halucynacja“ mówi Hipolit Taine. „Świat, to moje wyobrażenie“ głosi Schopenhauer i całe mnóstwo innych filozofów. Zwłaszcza zaś Kant i Johannes Müller próbowali uzasadnić subjektywizm w teorji poznania w sposób ścisły i naukowy. Pierwszy z nich odkrywa specyficzne formy i kategorje naszej umysłowości, drugi zaś buduje teorję specyficznych energji naszych zmysłów. Świat przedstawia się nam takim, bo takim jest poznający podmiot. Jakim zaś jest świat sam w sobie, jest rzeczą dla naszej wiedzy niedostępną i zresztą obojętną.

Pogląd przeciwny, objektywistyczny, którego wyraźnie nie wypowiedział, ale ku któremu sterował Avenarjusz, ogranicza natomiast rolę podmiotu do minimum. Nasze „ja“ to tylko kompleks pewnych danych rzeczowych i myślowych — mianowicie pewnych wrażeń zmysłowych, jakich doznajemy od naszego ciała, wzruszeń zmysłowych i uczuciowych, pewnych myśli w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Dane te różnią się tylko tem od innych danych, że są charakteryzowane

jako „moje“. Kompleks ten przeciwstawiony jest drugiemu kompleksowi, zwanemu naszem otoczeniem a składającym się również z przedmiotów rzeczowych i myślowych (eterycznych). Wogóle dane są nam tylko przedmioty różnego rodzaju. „Wyobrażeń“ zaś „zjawisk psychicznych“ ani danych nie mamy w doświadczeniu, ani też nie potrzebujemy ich istnienia przypuszczać. To, co zowiemy myśleniem, kojarzeniem wyobrażeń, nie są to czynności jakiegoś osobnego „podmiotu“, ale procesy wśród samychże przedmiotów myślowych. Podobnie jak między przedmiotami fizycznymi odbywają się procesa wedle swoistych praw fizyki a nie kierowane przez kogoś, tak i w dziedzinie przedmiotów myślowych panują prawa swoiste, które psychologja stara się doświadczalnie określić. Kojarzenie się wyobrażeń, to jeden z rozdziałów fizyki przedmiotów myślowych. Prawa logiczne, to także nie prawa psychologiczne i subjektywne, nie prawa jakichś funkcji myślenia, ale prawa przedmiotów „idealnych“ wprawdzie, ale niemniej objektywnych i od nas niezależnych, jak przedmioty zwyczajnej fizyki. W ogóle nie należy uważać ani duszy ludzkiej ani mózgu za źródło, substrat lub siedlisko myśli. Mózg to tylko centralna stacja motoryczna dla organizmu i żadne wysiłki analizy naukowej nie zdołają w nim odkryć czegokolwiek więcej.

Bardzo bliskiem jest pokrewieństwo tych poglądów z spirytyzmem. Jeżeli przedmioty myślowe istnieją objektywnie, to możnaby je też skonstatować w jakiś objektywny sposób. Spirytyści powołują się w tym względzie na telepatję, materjalizację myśli, działanie myśli na płytę fotograficzną wreszcie na narzucanie się pewnych idei lub obrazów całym tłumom ludzi odrazu, czyli na t. zw. zbiorowe halucynacje. Eksperymenty spirytystów mogłyby kiedyś posłużyć do eksperymentalnego rozstrzygnięcia, czy pogląd objektywistyczny jest słuszny. Dziś niestety brak dotyczącym pracom zbyt często naukowego charakteru.

Tymczasem zaś pogląd przeciwny, subjektywistyczny cieszy się na razie względami nauki ścisłej. Na jego podstawie można wytłumaczyć, dlaczego przedmioty zmysłowe bywają spostrzegane zwykle równocześnie przez więcej ludzi a przedmioty przypomniane lub fantazyjne dane są prawie zawsze tylko indywidualnie. Pierwszym bowiem odpowiada coś poza nami, drugie zaś są tylko subjektywnym wytworem, jakiemś odtworzeniem śladów w „duszy“ lub w centralnym systemie nerwowym. Podobnie łatwo można zrozumnieć fakt, że nie możemy sobie niczego wyobrazić, czegobyśmy wpierw zmysłowo nie spostrzegali, chociażby tylko w poszczególnych częściach składowych.

Teorja przeciwna natomiast musiałaby się uciec w tych wypadkach do sztucznych tłumaczeń. I tak trzebaby przypuścić, że nasz system nerwowy tylko o tyle zdolny jest reagować na nasuwające się przedmioty myślowe, o ile przedtem działały już nań podobne przedmioty zmysłowo. Dopiero spostrzeganie zmysłowe jakiegoś przedmiotu czyniłoby system nerwowy podatnym i dość czułym na wpływ podobnego a delikatnego bardzo przedmiotu wyobrażeniowego. Eterycznością i mglistością przedmiotów myślowych tłumaczyćby też można fakt, że

zwykle przedmioty te zauważane bywają tylko przez poszczególnych ludzi, szczególniej do tego przygotowanych, a nie tak jak przedmioty fizyczne, które przez wszystkich prawie jednako i równocześnie bywają spostrzegane. Podobnie sztuczne, musiałoby być wytłumaczenie wielkiego wpływu naszej woli i stanów uczuciowych na zjawienie się, znikanie i zmianę przedmiotów myślowych.

Wyszedłem daleko poza nauki Avenarjusza. Ani Avenarjusz, ani nikt inny — o ile mi wiadomo — nie rozwinął teorji objektywistycznej w sposób nadający się do dyskusji. Oczywiście bowiem za takie rozwinięcie nie można uważać filozofji człowieka pierwotnego, ani też, zachwaszczonych przeróżnemi bredniami teorji spirytystów. Pogląd objektywistyczny przedstawia się dziś tylko jako najprawdopodobniejsze uzupełnienie pozytywne negatywnych wyników badań Avenarjusza. Filozof ten zadowolił się eliminacją introjekcji, wyrzuceniem myślowych przedmiotów z „wnętrza" człowieka i postawieniem ich w jednej linji z przedmiotami spostrzeganymi zmysłowo. Ale introjekcja i przyjęcie różnicy między „wewnątrz" a „zewnątrz" u człowieka były potrzebne, aby wyjaśnić sobie związki między różnolitemi danemi doświadczalnemi. Usuwając introjekcję czynimy lukę, którą musimy wypełnić jakiemiś hipotezami, o ile chcemy powiązać jakoś ze sobą poszczególne dane doświadczalne i myśleć naukowo. Jako taka hipoteza nasuwa się objektywistyczna teorja przedmiotów danych nam w pamięci, fantazji lub w myśleniu pojęciowem. Okazało się jednak, że teorja taka utrzymać się nie da. Wypadnie więc chyba powrócić do introjekcji, jako teorji, dostatecznie tłumaczącej nam stosunki rzeczy i myśli.

Introjekcja jednak może być dwojakiego rodzaju. Można bowiem poprzestać na przyjęciu indywidualnych śladów w centralnym systemie nerwowym dla wytłumaczenia przypomnień, fantazji, marzeń sennych, pojęć i t. p., albo też przyjąć w tym celu indywidualne zjawiska i funkcje psychiczne. Kwestja niezmiernie ważna i trudna.

* * *

Charakteryzuje to Avenarjusza, że nie dążył do rozwiązywania kwestji filozoficznych, starał się je tylko inaczej, niż dotychczas oświetlić. Ograniczał się do uwag krytycznych i metodologicznych. Otwierał dalekie perspektywy, ale ich nie zgłębiał. Filozofja jego to próba utworzenia zadowalającego obrazu świata bez spekulacji i teorji. Uczył ludzi wstrzemięźliwości od metafizyki — tej potężnej potrzeby czy namiętności ludzkiej. W tem leży jego piękno i tragiedja.

Lwów.

Tadeusz Dąbrowski: O polskim dramacie mitologicznym.

(Jerzego Remera Walgierz Wdały; Kraków 1910).

I.

Jeszcze jeden dramat z epoki prasłowiańskiej. Raz jeszcze zaludniły się karty książki turami, koźlakami, wilkołakami, strzygoniami, wiłami, dziwożonami, rusałkami, strzygami. Pojawia się i „Boginka, uosobienie Życia-Raju“ i „Wodnik, uosobienie Śmierci-Zapomnienia“; „Żywia — uosobienie Życia“ i „Marzanna — uosobienie Śmierci“; „Lel-Polel, uosobienia Smutku jesieni, duchy snujące pajęczynę“ i „Wiślanki — uosobienia Wisły“. Wszystko komentuje skrupulatnie chętnemu czytelnikowi sam autor. Lecz czytelnik ziewnie zapewne na cały ten konwencjonalny świat dekoracji, włóczących się od czasów Wyspiańskiego po dramatach Jadwig Marcinowskiej, Maryli Wolskiej, Antoniego Waśkowskiego, Edwarda Leszczyńskiego i książkę znudzony zamknie. Wszak i nie każdy z licznych tych cieni-autorów zdaje sobie sprawę z tego, że to, co dziś konwenansem się stało, było niegdyś objawem żywotnej potrzeby, świeżym prądem budzącego się nowego życia.

Było to za czasów chylącego się pseudoklasycyzmu polskiego. Racjonaliści, przyzwyczajeni wszystko w oderwanych kategorjach pojęciowych traktować, uważający wszystkich ludzi za równych i jednakich sobie z natury, pozbawieni zmysłu historycznego, nieświadomi odrębności warunków gieograficznych i wpływu jej na urabianie ludzkiej kultury, uznający przedmiotowość piękna i naśladujący jego istniejące ideały; ludzie słowem przyzwyczajeni do obserwowania kultury ludzkiej, a więc i dzieł sztuki, jako zabytków muzealnych, w oderwaniu od gleby i czasu: przyswoić chcieli językowi polskiemu wszystkie typy literackie, zastane w literaturach, uznawanych za ideał przedmiotowego piękna: rzymskiej i francuskiej. Rozpoczyna się to gorączkowe tworzenie doskonałości formalnej, urabianie satyry, bajki, epigramatu, listu poetyckiego, poematu opisowego, ody. Całą wynalazczość wysilano na to jedynie, aby móc się poszczycić równie doskonałymi okazami danego typu literackiego, jakie posiadała literatura obca, aby wykazać, że i język polski dość jest wypolerowany.

Najwyższą wagę przykładano podówczas do dwu najpoważniejszych typów: epopei i tragiedji. Usiłowania podówczas przedsiębrane przetrwały nawet w czasy rodzącego się romantyzmu. Mickiewicz młody z żarliwem przejęciem się rozprawiał o prawidłach epopei i odbudowywał formę dramatyczną. Rzecz to zrozumiała. Oba te typy posiadały za sobą wspomnienie niezwykłej roli, jaką odgrywały w starożytnem społeczeństwie greckiem. Homer był nauczycielem całej Grecji, tragiedja łączyła ją w akcie religijnego kultu. Nic dziwnego więc, że tu nawiązuje za czasów pseudoklasycyzmu Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, którego cała działalność zmierzała ku wzbudzeniu i podtrzymaniu tradycji narodowej, mającej zastąpić czasowo naturalną więź państwową.

I tu poczyna się moment nadzwyczaj interesujący.

Rozpowszechniał się już kult poezji ludowej w Europie. Iljada i Odyssea, uznane dziś — nakształt średniowiecznej epopei francuskiej i niemieckiej za poezję dworską — od czasów Wolffa uważano za owoc twórczości ludu. Wykazywano wyższość ludowej Iljady nad literacką Eneidą; naturalnej, samorodnej, naiwnej poezji greckiej nad sztuczną łaciną. Odkryto ballady szkockie. Herder, Goethe zachwycali się pieśniami historycznemi południowych Słowian. Wszędzie twórczość ludowa opiewała i przechowywała w pamięci, podawała potomnym z pokolenia w pokolenie bohaterskie czyny przodków, zespalała w poczuciu jedności z nimi, urabiała skłonności i ideały, słowem strzegła skarbca narodowej tradycji. Organicznie wypadek każdy pamiętny, każde radosne czy smutne zdarzenie w życiu narodu wywoływało pieśń, która je utrwalała. U wszystkich znanych narodów można było spostrzegać stopniowe przechodzenie od tej twórczości ludowej do literackiej, która świadomie funkcje jej obejmowała. Wyjątkiem jedynym była tu tylko Polska.

Mówią wprawdzie jakieś źródła, jakieś kroniki o pieniach żałobnych w mowie ojczystej, opiewających boleść po śmierci księcia, to znowu o tryumfalnych peanach z powodu pogromu wroga, lecz niema żadnych szczątków, któreby dały świadectwo prawdzie. Zachowało się wprawdzie kilka dum historycznych z w. XVI., czy XVII., ale te raczej za przyswojone epinikjon łacińskie, aniżeli za ludową dumę historyczną poczytać należy. Brak było w Polsce epicznej poezji ludowej, któraby wytwarzała tradycję historyczną i przekazywała ją z ust do ust. Brak było epopei, któraby świetność bojów bohaterskich i wielkość państwa zawierała. I oto na krok niezwykle śmiały waży się prymas Woronicz w rozprawie swej „O pieśniach narodowych", odczytanej w gronie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wywtorzyło się już wtedy pojęcie tradycji historycznej i znaczenia jej w życiu narodowem. Ona miała wyrabiać charakter narodowy, miała utrzymywać w jedności naród, rozbity między państwa. Tradycję narodową wytworzyć trzeba sztucznie, gdy się nie wytworzyła naturalnie z samym biegiem rzeczy. Gdy brak epickiej poezji ludowej, należy opracować najświetniejsze momenta z narodowej przeszłości, waleczne, ofiarne, szlachetne czyny królów czy mężów znakomitych, w szeregu utworów literackich, któreby rozszerzane zstąpiły do ludu i przeszły w jego usta. To, co Smuglewicz zrobił w cyklu swych obrazów historycznych — mówi Woronicz — spełnić należy w poezji. Jeno jże ta tę ma nad malarstwem wyższość, iż, gdy płótno płomień pożreć może, gdy ie mogą rozkraść nikczemni złodzieje, pieśń jedna przylega kornie do strzech wieśniaczych i trwa przy nich utajona w wieczność. Arka przymierza między dawnemi nowemi laty — jak mówił za Woroniczem Mickiewicz. Proces rozwojowy chciał tedy ten najdoskonalszy chyba wyraziciel racjonalizmu pseudoklasyków na wspak odwrócić. Wierzył, że ze sfer przewodnich, inteligientnych da się tradycję sztucznie ludowi zaszczepić, że się sztucznie wzbudzić zdoła poezję ludową, tradycję tę zawierającą. Nie epika literacka wyróść miała z ludowej, ale odwrotnie, epikę ludową stworzyć miała literatura.

Zgoła przeciwnie poczyna sobie Mickiewicz z drugą formą idealną, której

tyle wysiłku poświęcali pseudoklasycy: z dramatem. Pseudoklasycy przeszczepiali na grunt nasz gotowy wzór, szablon obcy, usiłując weń wtłoczyć rodzimą treść. Tworzyli tragiedję historyczną. Twór u samych narodzin swych zionął chłodem trupim laboratorjów. Mickiewicz pragnie formę dramatyczną odbudować organicznie od źródeł. Dramat grecki powstał z obrządku liturgicznego ku czci Djonizosa. Z liturgicznego obrządku mszalnego wyrósł średniowieczny dramat chrześcijański: misterjum. Do pierwotnego tła religijnego wplatało się coraz obficiej pierwiastki świeckie, dramat stopniowo oddalał się coraz bardziej od treści początkowej, w miejsce bohaterów czy męczenników wchodzili królowie, wodzowie, wreszcie ludzie z życia codziennego. Rozwój dochodził swoich kresów.

Od źródeł, od tła liturgicznego wyjść tedy trzeba według Mickiewicza, by stworzyć rodzimą formę dramatyczną polską. Nie wzór obcy sztucznie przeszczepiać, lecz formę organicznie urabiać i prowadzić świadomie jej rozwój. Niedarmo w przedmowie do „Dziadów“ litewskiego Guślarza wywodzi Mickiewicz od koźlarza, ucztę kozła czyniąc ośrodkiem uroczystości Dziadów. W ten sposób zaznacza, że świadomie nawiązuje do tragiedji greckiej, że chce, aby dramat polski organicznie, analogicznie do greckiego, wyrastał. Źródłem dramatu jest mit, wieść gminna, tradycja, jednocząca w sobie cały naród i z jedności aktu religijnego wypływająca. Stąd ogniskowym punktem dramatu swego czyni Mickiewicz obrządek liturgiczny Dziadów, z nim sprzęgajac losy własne i narodowe. Stąd później na „Wykładach literatur słowiańskich“ mówi o dramacie słowiańskim, wypływającym ze zbiorowej świadomości, skupiającym w sobie wszystkie formy literackie, obejmującym niebo, ziemię i piekło zarazem, zamykającym całą wiedzę, religję i moralność narodu. Stąd, gdy Słowacki zamknąć zechce dzieje Polski w kronice dramatycznej, treści zaczerpnie z ludowej opowieści, czy z ballady, przez nią stworzonej.

Tu nawiązuje wierny uczeń romantyków — Wyspiański. Dramat jego — w myśl teorji Mickiewicza — wyrastać ma z tradycji, ze zbiorowego poczucia narodu. Dramat polski powinien zawrzeć całą odrębność polskiej rasowości. Lecz tu zarazem na pierwszy rzut oka uwydatniają się sprzeczności, jakie dramat ten z sobą przyniósł na świat.

Wyrastać ma ten dramat ze zbiorowej świadomości, a zaludniony jest całym dziwacznym Olimpem rzekomo słowiańskim, z którym najsłabszej nie posiadamy łączności. Zbyt wiele przetrwaliśmy wieków kultury chrześcijańskiej, a nie wiadomo, jakoby się duch polski przeciw temu najazdowi obcej kultury obecnie buntował, jak się buntuje pod wpływem Wagnera niemiecki (Hagenbund). Świat ten cały, jeśli nawet był prawdziwy, zamarł niepowrotnie w świadomości narodowej i próżne są wszelkie wysiłki wskrzeszenia Łazarza. Sam nawet Wyspiański umarł jako prawowierny katolik i wątpić należy, azali wierzył w świat mitologiczny, któremu użyczał hojnie swych utworów. Autentyczni komentatorowie pism jego, jak n. p. Lack, uważali świat ten tylko za wyraz epoki prasłowiańskiej w dramatach, a więc za dekorację, służącą do oddania nastroju czasów. Nie tylko u słuchaczy więc, lecz

i u poety wszelkie związki uczuciowe z zamkniętym i zamarłym tym światem zerwane.

Co więcej: Mickiewicz tłómaczy w wykładach swych, że Słowianie prócz wiary w jednego Boga i jego przeciwnika, oraz w nieśmiertelność duszy, żadnych zgoła dogmatów religijnych nie wyznawali; że ten brak więzi duchowej powodował też brak więzi społecznej, że więc każda gmina była dla siebie odrębną całością, nie wchodzącą w żadne związki z innemi. Brak było idei, któraby szczep cały potrafiła zjednoczyć. A skoro tak było, nie mógł się też wytworzyć dramat słowiański i istotnie się nie wytworzył. Dramat bowiem według Mickiewicza wyrasta ze świadomości zbiorowej, której właśnie w Słowiańszczyźnie pogańskiej brakło. Samo tedy żądanie stworzenia organicznie od źródeł dramatu słowiańskiego zawiera w sobie sprzeczność.

Pozostawałoby zatem to, co przedsięwziął Mickiewicz: stworzenie dramatu polskiego na tle świadomości chrześcijańskiej. Żądanie to jednak jest żądaniem uwstecznienia pewnej gałęzi kultury ludzkiej. Sięgać mamy na nowo do dramatu religijnego wtedy, gdyśmy się przeważnie wyzwolili od zagadnień religijnych. Jednostka nie czuje się już zawisłą od woli wyższej istoty, sprawującej sąd nad nią. Gniew bogów jej nie przeraża. Nie lęka się obrazić imienia boskiego; fatalny wyrok, przed wiekami wydany, jej nie dosięga. Dramat dzisiejszy stał się z walki o prawo walką o wartości. Z dramatu religijnego przemienił się w dramat świecki. Nawoływać tedy do stworzenia organicznego dramatu polskiego od początków liturgicznych, znaczy wraz z Rousseau'em wyrzekać się całej kultury ludzkiej i nakazywać powrót na łono przyrody, t. zn. do form bytowania zwierzęcego.

Dramat polski dzisiejszy wyrastać musi ze świadomości zbiorowej człowieka dzisiejszego. W przeciwnym razie przemieni się w papierowy, literacki, w szablon.

Lwów.

Marjan Olszewski: Sztuka dzisiejsza ma zbyt muzealny charakter.

O sztuce dzisiejszej, ostatniej, powiedzieć można, że jest sztuką muzealną. Nie dotyczy to wprawdzie wszystkich wybitnych powstających dzieł — ale bardzo wielu. Przyzwyczajeni więcej do muzeów, niż do natury, nie dostrzegamy już tego prawie i sztuka dni ostatnich wydaje się nam jakby pyszną, niesłyszaną dotąd grą o olbrzymiem bogactwie nowych form. A ona jest tylko niesłychanie zręczną plagjatorką. Kradzieże swe uprawia jeszcze od czasu empiru. Od owej chwili potrafiła zmienić i wydoskonalić ich system i gdy dawniej zapożyczała się u jednego bogacza — dziś bierze zewsząd. Rokoko było ostatnią fazą sztuki naturalnej, rozwijającej się, naiwnej — twórczej. Wszystko, co potem nastąpiło, (wyjąwszy tzw. rea-

lizm i impressjonizm), a więc empire, romantyzm, symbolizm etc. etc. — to sztuk co początek swój mają w muzeum i w bibljotece. Mógłby ktoś wprawdzie powiedzieć, że granicę tę cofnąć trzeba wstecz aż do renesansu i także o nim powiedzieć, że się chwycił gotowych form i idei, ba nawet, że sztuka średniowieczna pełnemi rękami czerpie z sztuki wschodu. Jednak nie byłoby to słuszne. Renesans dostał i wziął ze sztuki klasycznej nie wiele ponadto, co i sam bez niej byłby stworzył — gdy tymczasem sztuka empiru, czy nazareńska, czy też praerafaelitów — to ubogie plagjatorki i wierne kopistki. Canova i Thorwaldsen, Rosetti i Burne-Jones mogliby nie istnieć, mogliby się gdzieś zapodzieć — a braku ich nie uczulibyśmy — brak Michała Anioła, Lionarda, a choćby "tylko" Bronzina lub któregokolwiek innego renesansisty byłby o wiele większy, byłby wielki. Nie ulega wątpliwości, że i owe kierunki sztuki dziewiętnastego stulecia dały niejedno dzieło nader cenne, piękne i charakterystyczne, lecz są to niejako interpretatorki cudzych pomysłów, a same niczego nie tworzą. Wirtuozi, grający cudze kompozycje. Po nich dopiero przyszli ci, co mieli własne pomysły, nie zaś byli tylko estetami, umiejącymi piękno tylko widzieć a nie stwarzać — przyśli realiści „rodzajowi" i „historyczni" i impressjoniści. Ich dopiero sztuka w miejsce teatralnego kostjumu i giestu wprowadza żywego człowieka, w miejsce zaś abstrakcyjnego konturu — charakterystyczną bryłę. To też widać teraz szereg postaci, sytuacji i ruchów, których napróżno szukać w malarstwie poprzedniej doby, a które także niepodobne są do ludzi Velasqueza, Tycjana, Michała Anioła, Mateusza Grünewalda, Giotta, Greków, Egipcjan, Hindusów; a to już znaczy ogromnie wiele: być niepodobnym do całej przeszłości. To kreacje ludzi Daumiera, Maneta, Moneta, Renoira, Degasa, Whistlera, — Pilotyego, Matejki, Menzla, — Guysa, Ropsa itd. Część tych ludzi i niektóre odcienie tych kierunków smucą się niesłusznem lekceważeniem dzisiejszego pokolenia artystów. Piloty jest lekceważony; a jednak choćby jego postać astrologa Seniego jest bardziej twórczą i samodzielną kreacją, choć może mniej „piękną", niż po jednej stronie wiele postaci Davida z jego malowanych napoleońskich kronik, po drugiej zaś aktorzy obrazów Maurice Denisa, którzy są blizcy aktorom trupy Burne-Jonesa i jak ci udają uczucia, których nie doznają, lecz tylko o nich wiedzą, grają melodramat dla snobów. Dobre było w wiekach średnich przedstawiać ludzi-aniołów, wyidealizowanych do ostatecznych granic w szlachetności, dobroci i świętości i tak biernych, jak mogą być tylko ci, dla których najwyższym ideałem szczęścia jest spiewanie po śmierci hymnów na cześć boga, w jegoż obliczu i po wieczne, nieskończone czasy — dobre było wówczas, jeśli tzw. złe i przewrotne strony ludzkiej natury dawano tylko, a za to w całej rozciągłości i brzemienności Judaszowi, obu łotrom na krzyżach, biczownikom Chrystusa, oprawcom św. Stefana i Sebastjana etc. Ale tego naiwnego zwalania wszystkiego „dobrego" na jednych, a brzemienia wszystkiego „złego" na drugich dziś przeprowadzać nie można; wynika bowiem z tego ta sztuczna naiwność, ta pustka i ten spleen, ubóstwo i nuda, jakie wieją od obrazów Denisa i Burne-Jonesa. Ludzie ich są niepotrzebni i nieprawdziwi —

mierząc nietylko ze stanowiska realizmu (bo to nie byłoby miarą, dającą się utrzymać) — ale i ze stanowiska wyobraźni i uczucia. Bierni i ograniczeni ludzie istnieją i dziś, tylko nie istnieją jako ideał (jak w wiekach średnich) i tych lepiej od Burne-Jonesa i Denisa, bo żywych, istniejących malują Pautsch, Sichulski, Jarocki.

Astrolog Seni jest wobec kreacji ludzkich owych dwu malarzy postacią niesłychanie żywą i artystycznie wybitną. W tymsamym sensie żywą i prawdziwą, w jakim niemi są faraonowie sztuki egipskiej, wenery greckiej, Chrystusowie średniowiecznej. Być może, że mniej od tamtych znakomitą artystycznie. Żywą jednak i prawdziwą i wybitną. Jakżeż dopiero żywą, gdy go zestawić z postaciami Davida, Carstensa, Mengsa, Reynoldsa itd. I wobec postaci Puvis de Chavannesa jest on czemś żywem, co nie urodziło się w galerji, ale w duszy ludzkiej, patrzącej na życie i wyobrażającej je sobie nie poprzez flegmatyczny i anemiczny temperament książek i reprodukcji. Że go nie malował w pleinairze, jak później impressjoniści, lecz wyobrażał sobie to życie w atelier — drobny to (jeśli wogóle) brak w porównaniu z tem, że wogóle widział i malował swoją prawdę, czy raczej prawdę swej epoki, a nie prawdę epok innych. Gdy nazareńczycy przyjęli cudzą prawdę, własnej stworzyć nie mogąc — on pracował wraz z innymi nad własną. Całe dążenie do prawdy „historycznej“ nie potrafiło osłabić jego samodzielności, nie wrzuciło go w zależność od obrazów owych epok, które przedstawiał; jego świat historyczny pozostał światem mu współczesnym, w stare tylko kostjumy przybranym; i to właśnie, ta maskarada była dobrą i zajmującą — podczas gdy malowanie muzealnych ludzi muzealną formą starych obrazów przez Denisa i Jonesa choćby nie dla historji, ale dla nastroju — jest złe, niesamodzielne i nudne. Tak więc owi dziś jeszcze jako kierunek lekceważeni historycy—realiści (że wymienię tylko Pilotyego, Menzla, Laurensa etc.) stanowią olbrzymi postęp i usamodzielnienie się sztuki, dają wielkie kreacje ludzi. A mimo to po nich i po następnych impressjonistach przyszli artyści, co napowrot z atelier i z pleinairu wrócili do domów, mianowicie do muzeów sztuki i muzeów etnograficznych i pilnie studjują publikacje, sztuce poświęcone; źródeł swych nie szukają ani w naturze, ani w wyobraźni, lecz w dawnych dziełach sztuki. Toteż praca ich nosi znamiona wybitnego eklektyzmu, a zakres form artystycznych, z których czerpie, jest o wiele bogatszy, niżli był ten, jakim rozporządzały inne eklektyczne epoki. Gdyż dziś czerpie ona z całych dziejów sztuki i ze sztuki wszystkich narodów i plemion. Zapewne, że eklektyzm taki jest czemś więcej niż proste naśladowanie z zachowaniem „czystości stylu“, jakie było właściwe poprzednikom realistów, zwłaszcza zaś architektom gotyckich kościołów z XIX w. Jedyną też dodatnią stroną tych eklektyków jest, że lekceważą tę czystość. Dzieła ich sprawiają wrażenie, jakby pragnęli dawnym sztukom podpatrzeć wszystkie ich zamierzone i niezamierzone efekty, jakby się uczyli od nich stylizacji. Tak jest istotnie, ale wraz z tem przyszło, że w sztukę swą prócz owych efektów wprowadzili i dawne pomysły — że zaroiła się sztuka dzisiejsza armją aniołów, świętych, Chrystusów, Boskich Matek, ludzi odrodzenia, michelange-

lowskich, velasquezowskich i to oddanych w sposób bardzo zbliżony do obrazów z owych epok. Toteż nie jest dziwne, że ta ostatnia sztuka mało tylko daje silnych artystycznie i twórczych kreacji człowieka, i że z nią zestawiona, nietylko szkoła impressjonistów, ale nawet i wcześniejszych od nich historyków — realistów przedstawia się jako epoka niezmiernie. twórcza i samodzielna artystycznie — jako autorka wielu potężnych kreacji człowieka. Wystarczy tylko zestawić kilka dzieł. Rodina „Myśliciel“ stojący u szczytu bram piekielnych jest w swym ruchu najwierniejszem powtórzeniem proroka Jeremjasza ze stropu Sykstyny. Wyspiańskiego „Bóg Ojciec“ u Franciszkanów (jak zresztą tyle innych postaci) w ruchu swym naśladuje zupełnie Chrystusa z sądu ostatecznego w Sykstynie, zresztą zaś bardzo jest zbliżony do Boga Ojca na ostatnim, epilogowym kartonie „Wojny“ Grottgera. Jak więc niesamodzielne, nietwórcze, choć tak potężnie na nas działające, są te postacie w porównaniu z postaciami np. Milleta, którym wzoru nie znaleźć w dawnej sztuce, a które przy swej potędze wyrazu i artyzmu stają dzięki swej pierwotnej samodzielności tuż obok najwybitniejszych dzieł dawnych. „Wójt“ egipski z Louvru, Egineci z Monachjum, Chrystus i Jeremjasz z Sykstyny, Milleta „kobiety na ściernisku“, lub jego odpoczywający robotnik winniczny, czy „Siewca“, abo Courbeta „kamieniarze“ — to jeden rząd; wiele prac Rodina i wiele Wyspiańskiego — to drugi rząd dzieł, mniej twórczych, stworzonych nie jak tamte z „niczego“. Układ obrazu „symbolisty“ Malczewskiego wzięty jest ze sztuki renesansu włoskiego — impressjonista Monet nie brał go u nikogo, lecz stworzył. Stuck ma tylko typ człowieka velasquezowski i klasyczny, Mehoffer — gotycki, Wasniecow — bizantyński, Somoff — rokokowy, Zuloaga — velasquezowski, Brangwyn — velasquezowski i rembrantowski Zubiaurra staroflamandzki, Karl Walser — rokokowy itd. Gdyby postacie ich stanęły przed nami, poznalibyśmy w nich z łatwością krewnych postaci znanych nam u starych mistrzów. Podobne ruchy, podobne rysy, często i strój (o co już mniejsza) podobny i tylko w technice, czasem w sytuacji mała różnica. Nieraz na widok dzieła nowoczesnego nabralibyśmy przekonania, że Velasquez pojął za żonę Rembrandta, Michał-Anioł Polikleta, Giotto Lionarda da Vinci i razem to nowe dzieło na świat wydali, a spotkać można także rodziny o większej znacznie ilości rodziców i o pomieszaniu się ras. O Babylon, Babylon! Potop słów i form cię zalał, nie rozumiesz już niczego i tylko słowa z siebie wyrzucasz pomieszane i nie wiesz, kim właściwie jest człowiek. Kim jest ten człowiek, tamten człowiek, ów człowiek. Wydaje ci się, że ten jest tamtym, a tamten tym!

Ta utrata poczucia chwili i indywidualności bardziej jeszcze uderza, gdy oglądać liczne obrazy i rzeźby dekoracyjne, umieszczone wśród architektury, szczególnie zaś w Niemczech — a dalej, gdy patrzeć na ilustracje książkowe. Błędy starych dekoratorów i ilustratorów zostają pojęte i odczute jako pełne wyrazu cechy stylistyczne i malarz stara się wywołać w widzu tosamo wrażenie, naśladując coś. co dawniej powstało z nieuwagi. Korzysta się z tych znamion, które stworzył przypadek i uczy się na nich wywoływania subtelnych wrażeń i wzruszeń estetycz-

nych. Dotąd wszystko jest słusznie i jest zdobyczą. Lecz razem z tem naśladuje się w gruby sposób i wszystko inne, co się w tem dawnem dziele spotkało, zamiast to drobne odkrycie zapamiętać i przy odpowiedniej sposobności zużyć. Malarz Praetorius np. zostaje uderzony dysproporcjami figur na akwarelach empirowych o niezbyt wielkiej artystycznej wartości. Szczegółowa ta zdobycz może być nader cenną, boć uczyć się i dostawać bodźca cmożna nietylko od arcydzieł ale i od robót zgoła lichych. Lecz w obrazy Praetoriusa wjeżdża natychmiast figura o niesłychanie małej główce, przepotężnie, z egipska-po grecku rozwiniętych udach i znikająco małych stopach, z frakiem i żabotem tak rozdętym jak wole u gołębia, ubrana więc również po empirowemu. Przestaje to już tedy być nauką wrażliwości na wszelki kształt i nauką stylizacji, a staje się ubogiem i bezmyślnem naśladownictwem. Gdyż dobrze jest stwierdzić, że znikająco mała stopa i głowa nie muszą być zaraz rozważane z akademickiego punktu widzenia „dobrego rysunku" i realnej prawdy, że wywołują one pewne swoiste wrażenie, że można, i że nieraz nawet dobrze jest dysproporcji tych użyć — ale ubóstwem jest nie umieć z tego doświadczenia skorzystać inaczej, jak tylko przez dokładne niemal powtórzenie istniejącej już kreacji. A tego rodzaju metoda „twórcza" rozpowszechniła się już w sztuce dekoratywnej i obniża jej poziom. W dzisiejszej sztuce dekoratywnej prawie że jeszcze nie powstają samodzielne, twórcze kreacje człowieka. Podczas gdy „Skarga", „Witołd", „Possewin", „Przemysław", czy którakolwiek niemal z postaci Matejki, mnóstwo postaci Menzla, niektóre Jean Paul Laurensa, niektóre Detaillea, postacie Milleta, Maneta „Le buveur d'absinth", „Nana", jego postacie na obrazie „Le balcon", figury Meuniera, Ropsa, Courbeta, Segantiniego i t. d. tzw. realistów i impressjonistów — to kreacje, które nie powtarzają form i ruchów, lecz nowe do życia powołują, a których styl, choć może dziś jeszcze dla wielu niewidoczny, nosi cechy prawdy, niewymuszenia, w oczach przyszłych pokoleń postawi je obok dzieł Egiptu, średniowiecza Włoch. Mam nadzieję, że wiele dzieł dzisiejszych dekoratorów, które się dziś uważa za bardzo wybitne, ukażą niedługo i ogółowi swój nietwórczy eklektyzm, co nas dziś tak ku nim pociąga...

Paweł Sterling: Płaczkowie.

(Szkic socjologiczny).

Spojrzmy w duszę licznych dziś jeszcze w każdem społeczeństwie ludzi, szczególną klasę płaczków stanowiących. W podziale psychicznym pracy społecznej, klasa ta zajmowała po wszystki czasy nader wysokie stanowisko wskutek doniosłości roli funkcji jej społecznych. Dziś zdaje się on zanikać po wielu przeobrażeniach, zaszłych w ciągu dziejów, stopniowo własność tę społeczną osłabiających.

Mimo wszelako, iż płaczliwość we wszelkich jej formach chętnie poddaje się biczowi szyderstwa, pogardy, poczuciu niższości, wogóle, droga zaniku jej jeszcze nie nakreślona. Jeszcze nie rozwidniona jej długa nić przebyta, brak świateł na jej teraźniejszość, w ciemni jej dalszy ciąg. Pójdźmy więc po składniki światła niezbędnego, — świadomości, które nam bezwiedzę nad jej poziom wzniosą.

Płaczliwość jest stanem tzw. nieszczęśliwości wysokiego stopnia, wynikiem wrażliwości nadmiernej i nieprzystosowania się do warunków życia, cech, które charakteryzują zarówno wielkich ludzi, ponad normą stojących potęgą własną nie mocnych śród słabych, jak również słabe podnormalne jednostki. W pierwszym przypadku jest ona skutkiem przeszkód, tamujących silne rozumy, wybujałe ponad normy socjalne, z przyszłością w duszy społeczną lepszą, niemocne dla braku dróg swych. Kieruje wtedy przeczulenie na drogi płaczu.

Dwa te stany wiążą ogusa pośrednie. Wartość socjalna jednostki nie posiadała nigdy ścisłej określoności; historja rozwoju społeczeństw pozostawiła nam wiele dowodów na to. Wzory wartościowego życia i typowości wartościowych, ongiś ściślejsze, stopniowo rozpadały się, przeobrażały, różnicowanie się społeczne doprowadzało do różnicowania się pojęć wartości; poglądy na tę ostatnią, z różnych punktów wyjścia wyprowadzane, wzajem się osłabiały w czynach; powstawały poglądy na świat rozmaite, cele i dążenia rozmaite, i śród walk o prawdy starta nieudolność pozorna i istotna, indywidualna i zbiorowa. Gasiła ją niejednokrotnie wola uznania nieudolnego za udolne, wola dla siebie; „chcę“ ludzkie krzepło prawnie; z coraz wtedy wzrastającem zdumieniem przekonywała się ludzkość, że nie błądzi... gdy dąży zgodnie z wolą, tak społeczeństwa, jak jego grupy, jak i jednostki.

Powstawały więc drogi nowe, duchowe i fizyczne, życia, któremi poszły siły nowe niemocne pozornie, z powodu okowów tradycjonalnego rozumu, i powstają nieustannie. Stare tory życia, stare nakierowania socjalne, przeznaczenia i przewidzenia, paczą jeszcze czasem jednostki i grupy, paczą myśl na nowe tory weszłą, marnieją więc, które nie marnieć mogły, nieudolnieją, które udolnie żyć mogły, gasną talenty i uzdolnienia; lecz odtwory te przeszłości coraz są rzadziej renomowane, coraz mir mniejszy mają stare formuły życia, pojmowania się wzajemne. Słabnie więc płaczliwość, potrzeba litości, tło stosunków społecznych łagodnieje.

Jedną z właściwości płaczu jest ta, że sprowadza on ulgę w cierpieniu; jest to mianowicie dogodny sposób usuwania energji „niezadowoleniowej“; wprawdzie jest to forma najsłabsza czynu, i zaliczyć ją trzeba do stanów biernych, gdyż usunięta przez płacz energja mogła była w inny, bardziej czynny sposób zostać udaremnioną, w każdym jednak razie zmniejsza ona zło. Każdy stan organizmu zawiera w sobie układ swój przyczynowo-skutkowy. Jest to więc stan narracji, człowiek płaczący opowiada sobie i innym aktem płaczu o przyczynach i skutkach swojego nieszczęścia, przechodzi on szeregi wzruszeń, w płaczu jego brzmi ból, gniew, skarga, prośba, groźba itd, kieruje on swój płacz na siebie, by czuć

i myśleć odpowiednio — cel nieświadomy organizmu; lub na środowisko, by na nie wpłynąć... W ostatnim przypadku płacz ma na celu zmiękczenie serc, wyzyskanie przychylności otoczenia, osłabienie woli, przeciwnej potrzebom płaczącego, lub tych kogo reprezentuje. Sięgając w dale tradycji płaczliwości, dojdziemy w wstecznym naszym ruchu do czasów pierwotnych. Człowiek pierwotny płakał łatwo i często; ale w pewnych warunkach życia, gdy o honor szło osobisty, rodowy, narodowy, etyka społeczna płaczu mu zakazywała, w życiu jednak wewnątrz-społecznem płacz i lament śród ludów niższych zjawiskami były częstemi, łatwiej występującemi niżej niż wyżej. Najczęstszą ich formę stanowiła niezłożona gama dźwięków, jednostajnie się powtarzająca. Niektóre z tych form były socjalnie doniosłe, dotyczyły zasadniczych spraw społecznych i znamienny dla społeczeństwa fakt był świętowany, pokoleniowo powtarzany, powtarzano więc pokoleniowo gamę płaczu ważnego, śpiewną dla ucha coraz więcej. Tak powstał płacz żałobny np. odtwarzano go, naśladując przeszłości w aktach czci i w analogicznych do niej sytuacjach życiowych; śpiewano więc płacz, by rozgrzmiał, potężniał wpływem, odtwarzano go na fujarkach i bębnach, zyskując muzykę żałobną, stosowano do niego słowa odpowiednie, tworząc literaturę żałobną. Gdy objawy ducha społecznego, w płaczu zawarte, nie u wszystkich jego członków jednej siły wpływu, wysunęły niektórych z nich, powstał zawód płaczków i płaczek. Początkowo był on nierozdzielny z kapłaństwem, rozpadł się później na religijnych i świeckich płaczków. Pierwsi dali dwie linje płaczków, górną, która ma dziś formy chórów kościelnych np. i dolną, płaczków żebrzących np.; w drugiej widzimy artystów, literatów, uczonych niekiedy.

Powiedzieliśmy już, iż płacz stworzył pieśń żałosną, muzykę żałosną; w skład ostatniej wchodzą niejednokrotnie, jako składniki narracji jej, tonacje, odpowiadające innym uczuciom, pogłębiające żałosność jej; ta cecha płaczu melodyjnego występuje rzadziej w płaczu zwykłym. Być może, zawiera w sobie ten ostatni muzykę przeszłości. Gdy się wsłuchujemy w prosty płacz ludu i dzieci, dziś zupełnie poza wymogami naszymi melodyjności leżący, przypomina nam on melodyjne płacze, pieśni żałosne odbytej przeszłości; jest on bliski pieśni żałosnej ludu dzikiego. Bez wątpienia ma w sobie tradycje muzyki przeszłości, jest na niej wzorowany. Tło jego uczuciowe jest najczęściej, u ludu zwłaszcza, modlitewne; modła żałosna, wzorem dla płaczu będąca, ma rytmikę przeszłości mniej, lub bardziej odległej. Lament i utysk współczesnego ludu są nacjonalne, religijne, na rytmice pieśni ufundowane; lecz pieśni te powstały z lamentu i utysku przeszłości naturalnej. Wyrazy silniejsze żałości łączyły się na mocy analogji, do narracyjnego układu płaczowego dochodziły wploty, w miarę rozwoju społecznego, różnicowanie się coraz szerszego. wploty coraz złożeńsze; tonacje przeszłości ulegały modyfikacjom, skrótom, zlewom, rozrastała się złożoność, narastały odcienie tonów, podtony, układy ich przedstawiały coraz więcej melodyjności, w miarę jak się życie w coraz złożeńsze kompleksy układało, coraz złożeńszą całość i płacze żałosne przedstawiały. Dobór od

naturalnego śród płaczków do sztucznego się wzniósłszy, w sztukę rozwinął płaczliwość; uprawiali go duchowni naprzód; odpadać odeń poczęły niższe siły społeczne, niższe typy płaczliwe. Melodramat powstał i tragizm religijny naprzód, świecki potem, długo na tradycji oparty, zawsze o religję jeszcze potrącający, tonacji bożych pełen jeszcze.

Uczucia nieszczęśliwości, płaczliwość zatem, najdłużej w starych ramach spoczywa; nędza niejednokrotnie bywa motorem rewolucji; niejednokrotnie tworzy sobie siły poprawy bytu, lecz chętnie gnuśnieje w tradycji, nie bywa ona nigdy sama przez się przyczynnikiem rozkwitu; raczej wyradza, powstrzymuje w rozwoju i uwstecznia, niż wzrost energji w twórczym kierunku powoduje; zawsze nagłe jej towarzyszące przypływy energji mają charakter prosty, nieprzezornej, doraźnej samopomocy krótkotrwałej wartości.

Spotykamy więc te rodzaje głównie płaczu: płacz naturalny i sztuczny; religijny i świecki. Płacz naturalny poza powszechnemi własnościami swemi, jako płaczu, ma wszędzie charakter nacjonalny (rodowy, narodowy), jak i język; jest wiec oparty na tradycji, jest kultywowany, rozwijany w sztuczny, religijny nasamprzód, jak to powiedzieliśmy; kulturze podlega płaczek i wzory daje przeciętnej płaczliwości swojskiej. Typ to szczególny, uwrażliwiony wysoce, przeczulony, dramatyczny; znajdujemy go w każdej warstwie społecznej odpowiednim szczeblowi jej cywilizacji, w każdym zawodzie, w każdej grupie, część społeczeństwa scałostkowaną pod pewnymi względami stanowiącej, w codziennem wreszcie życiu.

Gdy słuchamy płaczu u warstw społecznych różnych i ludów różnych, dostrzegamy, iż słabnie dla wyższych stopni cywilizacji. Usuwa go nie tylko zaradność większa i wzrost dobrobytu, lecz i przezorność. Nieszczęśliwy jest po wsze czasy prześladowany; śród zwierząt instynkt dyktuje dobijanie go, w obawie naśladowania nieszczęśliwości, w wyniku współczucia; u ludów pierwotnych płacz jest niereligijny i stąd grzeszny, karygodny; nie wolno mu osłabiać sobą sił rodu. Przez osobniki, wrogie celowi płaczu, płacz jest prześladowany; jest to bowiem groźny osłabiacz i wtedy, gdy się zewnętrznie objawia, i wtedy, gdy otamowany, wewnętrzny płacz stanowi, a ostatni ten akt przezorności, objawy ma mniej widoczne, uczuwalne. W czasy czarowstwa był on uroczny. Groźnem było zaśpiewanie i zapłakanie, bowiem pod wpływem tych aktów zapominano łatwo trafnych i zdrowych dróg życia, wykonywano nieraz wolę nieszczęśliwej, mściwej, zła życzącej jednostki wbrew interesowi społecznemu. Płacz i śpiew zewnętrzny lub wewnętrzny przeważał w świadomości, lub pod jej poziomem; wraz z tem, co przypomniał i wniósł do duszy ze sobą i tło nieszczęśliwe panowało w życiu, smutkowe, ujemne, fatalistyczne. W obronie przed zgubą więc duszono płacz, płaczliwość. Postęp polega na budowie tła powodzeniowego, niweczeniu niepowodzeniowego. Momenty szczęśliwości, dobromyślności winny stanowić tło planowań życiowych, dla ujemnych niema miejsca. Praca na to, by człowiek nie potrafił analogicznie do drogi niepowodzeniowej iść, jest pracą cywilizatorską; dlatego szczęśliwe talenty,

szczęśliwe egoizmy, szczęśliwi ludzie są bardzo lubiani. Do ostatnich najmniej należą płaczkowie, acz, gdy utylitarności socjalnej szerokiej, lub w walce o byt gracze zręczni, szczyty swoje plusów biorą. Bywają one przebolesne najczęściej: laury wielkich n. p. Płaczek-ofiarnik: bonza, bramin, mnich i t. d., wydał ze siebie płaczka żebraka, współczesnego nam; płacze on pod kościołem, na pogrzebie, nad trumną w lament uderza. Za grobami szli płaczkowie płatni, wcześniej domownicy płci obojga, duchowni, potem i żebracy. Ostatni stanowią najniższą grupę płaczków już wymierającą.

Przegląd społeczny:

ŻULIN i JEGO DLA NAS ZNACZENIE. Rzadko zdarza się, by drobnej wioszczynie galicyjskiej, przypadł w udziele wielki i niezasłużony zaszczyt rozgłosu światowego, zaszczyt tzw. kwestji zasadniczej. Zawdzięcza ona te wątpliwej wartości laury niezwykłej wprost konstrukcyjnie organizacji partji ukraińskiej, tej partji, która w równie zręczny jak i nieskomplikowany sposób umie każdą prawdziwą i rzekomą krzywdę, każdy p o z ó r krzywdy wykorzystać, jako jeszcze jeden atut w grze przeciw Lachom, przeciw „obcym przybyszom“ we wschodniej Galicji. Z pism codziennych aż nadto dobrze znany jest stan faktyczny sprawy żulińskiej. Urzędowa notatka stwierdziła, że „wyniki śledztwa władz szkolnych w Żulinie wykluczają motywy narodowe lub wyznaniowe“ w całej tej aferze zamierzonej na wielką skalę, że owszem nauczyciel Greiss uczył w języku „rusińskim, dzieci zaś modlitwę stale odprawiają w języku rusińskim“ Śledztwo sądowe, jeszcze nie ukończone, bezstronne — jak tego mamy nadzieję — wykaże zapewne dalsze, „krzywdy„ ruskie i dalsze „zbrodnie“ polskiego nauczyciela ludowego, może rzuci światła więcej na tło stosunków polsko-ruskich na wsi, na etapy przebiegu walki, której momentem wprost nieprawdopodobnym było burzenie grobów dzieci nauczycielskich.

Jednakże już dziś nasuwa się uwag parę z powodu Żulinu. We wschodniej Galicji, życie nie obu narodów, ale raczej partyjnych przywódców i rozpolitykowanych przez nich niektórych o żywszych temperamentach i apetytach agitatorów ludowych, przybiera formy statecznie i coraz bardziej zatrważające,formy zaprzeczające wszelkiej możliwości pracy spólnej w kraju. Podkreślamy z naciskiem: do dziś dnia w wielu okolicach pożycie wzajemne większości i mniejszości narodowych jest zupełnie naturalne, swobodne i przychylne śród warstw włościańskich; łączą je spólne a g r a r n e interesy, spólna gospodarka gminna, spólne związki małżeńskie i towarzyskie. Do niedawna było wsi takich zwłaszcza w pobliżu miast względnie dużo, i to np. tego rodzaju jak Sokolniki obok Lwowa, więc wysoko kulturalnie i narodowo uświadomionych. Dziś ilość ich zmniejsza się błyskawicznie, ustępując miejsca osadom n a r o d o w o ś c i o w o, jak najściślej zróżnicowanym, co jest niewąt-

pliwie tendencją rozwojową wobec licznych wypadków rutenizacji naszego włościaństwa, ale i także rozagitowanym i to po stronie ruskiej do niemożliwości po prostu, osadom operującym takimi środkami walki jak np. w pobliskiej wsi lwowskiej niedawno zaszłą z okazji obchodu grunwaldzkiego denuncjacją ze strony ruskiej do Sądu krajowego o zbr. obrazy majestatu na mówcę polskiego, mówcę który w przemówieniu swem, jak to sami mieliśmy sposobność stwierdzić, dotknął jedynie kwestji stosunku naszego do Prus i polityki antypolskiej i w „zapale krasomówczym“ napomknął słów parę, niewinnych zresztą, o osobie cesarza niemieckiego. Większość ruska we wsi doskonale o tem wiedziała, nie mniej... postąpiła tyle niemądrze, ile i niełądnie, stając się nagle rozczulającym gwardzistą... Jego Cesarskiej Mości.

Najsmutniejszem w tem wszystkiem więc jest nie zresztą znamienny fakt niesłychanej i nie przebierającej w metodach taktyki stronnictw ruskich i ich inteligencji młodszej i starszej, ile poruszenie najniższych instynktów u szerokich warstw przeważnie włościańskich, tych warstw, które w całej walce narodowej zamiast postąpić o krok, setki kroków w zaniedbanej do cna kulturze zawodowej i ogólnej, cofają się raczej w tył, służąc za narzędzie, groźbę krwawą namiętnych agitatorów rusińskich. I oto tło sprawy żulińskiej, na mniejszą skalę w każdej wsi, w każdym powiecie „aktualnej“. Polski sędzia, polski urzędnik administracyjny, polski nauczyciel, lekarz, inżynier w zalewającej go większości ruskiej ma ogromnie trudne zadanie sprawowania swych urzędowych i zawodowych czynności. Dawniej oceniano go jako kwalifikowanego lub owszem nieudolnego profesora, starostę, sędziego, dziś rozstrzyga jego narodowość; wystarczy aby zamianowano w powiecie rdzennie ruskim polskiego funkcjonarjusza publicznego, a ogłosi się go, zwłaszcza gdy nie czuje sympatji dla argumentów dzisiejszej walki politycznej, Rusinożercą, Lachem przeklętym, etc. etc. i mimo pełną poświęcenia czasem pracę uniemożliwi tysiącznemi szykanami wszelką wydatniejszą działalność. I to jest prowadzone po stronie ruskiej równie bezwzględnie jak i konsekwentnie.

Obsadzanie urzędów i zawodów wolnych, winno uwzględniać, jak najszerzej dążności narodowe; dziś już tego nikt nie zaprzeczy, najmniej zaś my, po okresie germanizacji i zalewu biurokracji niemieckiej w Galicji. Ale nie widzimy najmniejszego powodu, dlaczego by miano człowiekowi o kwalifikacjach wszechstronniejszych, odmawiać prawa działania śród „obcych“, gdy nie ma kandydata narodowego lepszego i gdy nietylko śród większości czasem ruskiej ale i mniejszości polskiej na wschodzie milej widziany będzie dla swego taktu, wiedzy i pilności lekarz lub sędzia lub nauczyciel polski. Możemy tylko jedno założyć z góry; urzędnik i zawodowiec polski, działający śród większości ruskiej winien tem snadniej, gruntowniej i intenzywniej na posterunku pracować, winien uniknąć pozorów nawet niedbalstwa, niechęci lub zgoła stronniczości narodowej. Afera żulińska jest memento dla polskich władz i polskich zawodów wolnych. Musimy liczyć się z tem, że nie-

chętne nam żywioły ruskie nie zawahają się przed niczem, by w razie najmniejszych, ludzkich zupełnie uchybień i omyłek (jak Greissa np. karcenie dzieci) wyciągnąć z nich wszelkie dozwolone i niedozwolone konsekwencje. Musimy mieć wiarę mimo wszystko, iż przed wytężoną, świadomą celu pracą, nawet agitator ruski, nawet dziennikarz ruski, jeśli nie uchyli czoła, to przynajmniej ...zamilczy. I to jest nasza na razie jedyna broń.

Konstatujemy tu bowiem na podstawie osobistych spostrzeżeń także, że urzędnikom Rusinom, o ile ci mają kwalifikacje naukowe i charakteru odpowiednie, nigdy albo wyjątkowo chyba stawia się jakieś przeszkody ze strony ludności polskiej; owszem znani są powszechnie w kołach zawodowych i cenieni prawnicy ruscy, jeśli na to wiedzą i taktem zasługują w zupełności. I nikt z pewnością z nas nie zarzuciłby im stronniczych rozstrzygnień, jak to się dzieje wciąż w protestach, rekursach, prośbach ze strony ruskiej, gdy winnych Rusinów stawia się przed sąd polski. Skąd pretensja, aby ruskich studentów, awanturujących się na uniwersytecie lwowskim, sądzili Rusini lub Niemcy, skoro właściwym wedle procedury karnej jest jedynie Sąd lwowski krajowy i jego na rok stale uformowany senat karny? Więc nie podzielamy ze wszystkiem opinji zwłaszcza w warszawskich organach reprezentowanej, że śród większości ruskiej nie powinni działać Polacy! Z pewnością tym ostatnim byłoby wdzięczniej działać śród swoich jedynie, ale gdy pełnią swoje obowiązki należycie, gdy — jak się to od lat dzieje, nauczyciel ludowy zdrowie swe i siły „traci“ na kształcenie dzieci ruskich, otaczając je nieraz miłością i opieką serdeczną (ze strony nauczycielek zwłaszcza), nie można z narodowego punktu widzenia nic mieć przeciwko temu, aby tam zwłaszcza, gdzie są mniejszości polskie, uczył, sądził, „administrował“, leczył... Polak.

Nawet dziś znamy okolice, gdzie Polacy, jako sprawujący funkcje zawodowe i społeczne, są lubiani i cenieni przez większość ruską — nawet dziś po latach już jątrzenia ludności przeciwko nim ze strony agitatorów rusińskich. Nauczyciel Greiss, jeśli przekroczył rzeczywiście granice dozwolonego karcenia dzieci, winien ponieść karę tem surowszą, że naród polski przez dnie dyskusji szkolnej w Dumie z powodu sprawy Żulińskiej znosił upokorzenia niczem niezasłużone ze strony prawicy, że Żulin w jednostronnej interpretacji naszych najserdeczniejszych stał się zabójczo głośnym i donośnym. Ale nawet sądownie udowodniona wina Greissów — daleka zresztą od tendencji antiruskich, wina przesadnej, karygodnej ostrości wychowawczej, nie może przesądzać o latach całych, czasem zasług i dobrej woli pełnych latach pracy polskiej na wschodzie, nie może dla ambicji i nienawiści agitatorskich poświęcić pożycia zgodnego obu narodów, naszych potrzeb narodowych na kresach. Bowiem matematyczne, zewnętrzne zgoła obliczenia wzajemnego stosunku zaludnienia nie mogą tu być kryterjum wystarczającem do odsądzenia polskich usiłowań kulturalnych od „czci i wiary“. Zbyt są one i były wydatne, warte, aby je mógł zniszczyć jeden zły nauczyciel lub ...jedna świadoma kalumnia. Nawet wobec... Europy. *l. b.*

Przegląd literacki.

RAPSOD LUDZI PODZIEMNYCH. (Uwagi o twórczości Andrzeja Struga). Gdzieś tam w podziemiach rozwijały się siły, przechowywujące zamarłą na powierzchni wolę dziejową, gdzieś tam w podziemiach rozgrywały się dramaty, a widownia oglądała tylko ciała rozerwane pociskami, szubienice i przerażone oczy tych, którzy uciekali z miejsc niebezpiecznych. Wypadki dochodziły do przeciętnej świadomości społecznej za pośrednictwem kronik dziennikarskich i statystyki.

Andrzej Strug usiłuje ukazać w swej twórczości, co działo się poza kulisami, wyprowadzić na światło cienie dusz ludzi, którzy walczyli w podziemiach, ich mękę i splot zagadnień, urodzonych z tej męki i rozdarcia — uczynić ich przeżycia rzeczywistością dziejową, własnością psychiki społecznej.

Twórczość Struga — to jakby nekrolog, rzewne pożegnanie towarzyszy, poległych za sprawę, rozpamiętywanie ich dusz, znużonych cierpieniem nad miarę. I tem się określa stosunek jego do rewolucji, stosunek, który można nazwać osobistym. Strug nie konstruuje, nie stawia zagadnień, dla niego rewolucja nie jest doświadczeniem, materjałem do konstruowania zrównań i odkrywania nowych niewiadomych — Strug rozpamiętywa swoich iudzi, a sąd jego o momencie dziejowym (mimo kilku postaci, jak: Kozłowski, Gryziak) jest: było tak, jak trzeba. Niema u niego rozdźwięków zasadniczych; więc, jeśli brak mu głębokości Żeromskiego, to ma wiarę w wartość trudu i poświęcenia. Tu niema beznadziejnego płaczu i łkania „Dziejów grzechu"; Strug mówi o swoich ludziach, jakby przesuwał zbożnie drogocenne perły różańca, jest piewcą ich mocy i dziwnej prostoty, do której dochodzą w ostatnie przedśmiertne noce oczekiwania (Jutro). Polska rewolucyjna Struga w samem swem istnieniu znajduje rację swego istnienia. Zresztą wszystko co jest w niej intelektualnem, jest formą przeżyć zgoła nie refleksyjnej natury.

To też zasadniczym motywem w nowelach Struga, refrenem wiecznie powracającym, jest nieukojone cierpienie i ciągły bunt bojownika, zmuszonego żyć i działać pod ziemią, gdy „chce się krzyku z piersi dobyć i głosu na cały świat! A ramiona stężałe giestu chcą szerokiego i swobody — i broni szuka ręka." „Ciasno duszy — mówi Leon (Dzieje jednego pocisku) — Mizerne nasze środki, mizerny nasz cel... Mówi się: dla przyszłości, wierzy się w przyszłą, wielką wojnę... ale na teraz? Dla nas, którzy tymczasem przy tej robocie wyginiemy?.. Na polu bitwy umiera rycerz, grzmią mu armaty, tętnią konie — A my? Sponiewierają nas w brudnym cyrkule... Potem czekaj. Będą cię kusić... Mówi się prowokator — to prowokator, że to tylko podły człowiek... Ejże nie... Nie jeden z tych, co zdradzili zginąłby bez wahania, jako rycerz, w pięknym łatwym boju rycerskim..."

Bywają więc chwile kuszenia. Czasem wiara się zachwieje i pyta człowiek podziemny: może to wszystko straszna pomyłka? A jeśli rezultatem tej krwawej walki będzie nie człowiek wolny, ale człowiek — maszyna? I bezdomnemu, błądzącemu wśród nocy jesiennej, zjawiają się te czasy przyszłe w postaci nieskoń-

czonych szeregów ludzi, jednakich wzrostem i obliczem, szeregów podobnych „wygładzonej powierzchni morza.“ (Wigilje).

Innego zmoże wygnanie, zabije głód czynu. Uczą go gwiazdy syberyjskiego nieba, w długie zimowe miesiące śmiertelnej mądrości. „I pogardzi życiem i pogardzi wszelką sprawą życia, jego wszelką rozkoszą i każdym obowiązkiem... Udane będą jego dążenia, kłamana będzie każda jego wiara Tęsknić będzie wiecznie do nicości i niczego już nie ukocha naprawdę“. Dobiła mnie ongiś moja cnota — woła zesłaniec w „Ostatnich listach“ — cnota wolnego życia, która jest przekleństwem wygnania... Ginę śmiercią głodową. Zabija mnie głód czynu.“

A czasem krwawi się ból po starganem życiu, po zmarnowanem szczęściu. „I chwyta żal i jakiś zapalczywy gniew — zupełnie, jak gdyby mnie kto krzywdził przez ten cały czas, a ja dopiero teraz odkryłam tego starego krzywdziciela“ — mówi w „Ostatnich listach“ jedna z wielu cichych ofiar, oczekujących przez dziesiątki lat powrotu ukochanych z wygnania. Bywa, że tropiony i nękany chorobą człowiek podziemny skryje się na chwilę wśród ludzi, żyjących w szęściu i na swobodzie i spojrzy w oczy swojemu szczęściu i tem się odurzy — wtedy znienawidzi jarzmo swoje i wraca leniwo z duszą, na zawsze rozdartą (Sielanka): „Radę wam powiem ja, który cierpię — mówi Krzemski — nie odrywajcie zmęczonych oczu od kamienistej drogi waszej, nie patrzcie na kwieciste łąki życia, bo niezwalczoną jest moc, bo zaiste przesłodką jest pokusa swobodnego życia“. Odtąd zmuszać się będzie. Wszystko będzie jak dawniej, jeno katorga to będzie, nie praca wybrana nad wszystkie. A jednak wytrwa. Coś zostało, co utrzyma go przy życiu i nie pozwoli o śmierci marzyć. To fatalne coś noszą w piersi bohaterowie Struga do ostatka, nawet wtedy, gdy zmożeni jałowem, zabójczem wygnaniem nie mają odwagi wracać do ludzi i szukają w śmierci odpoczynku po trudzie, lub kiedy samotność więzienia strawi w nich żywą myśl i obedrze wszelką świętość z aureoli.

Tu usiłuje Strug wyjść poza siebie, poza swój świat. Ma momenty kuszenia. Stawia jakoby zagadnienie, zagadnienie z natury nierozwiązalne. Miewa złudzenia i tu załamuje się jego jednolitość. Tłumowi postaci swoich, poślubionych walce i męce serdecznej, przeciwstawia najpierw mętną nieco postać dziwnego proroka (Prolog), a potem bandytę Gryziaka (Dzieje jednego pocisku). Ale, jeśli o pierwszym nie wiemy, co sądzić, gdyż poza stroną negatywną, poza buntem przeciw poświęceniu, jest fantastyczny. o drugim wiemy, że jest tylko buntem. Buntem doprowadzonym przez samego autora do absurdu. To, co u tamtych jest rozdarciem, tu jest buntem. Prawda tamtych jest prawdą Struga; prawdę tych drugich Strug pomyślał jeno, „jako konsekwencję rozdarcia“. Kto daje odpowiedź na pytanie dzisiejszego człowieka — pyta ów prorok z „Prologa“ — upadającego pod ciężarem wszechobecnej krzywdy, duszącego się w zatrutem powietrzu kultury? — Obiecuje mu kościół królestwo niebieskie i każe znosić ciężary. Dowodzi mu socjalizm, że będzie raj na ziemi i każe ciężko pracować dla szczęścia prawnuków. A co na dzisiaj? Komu wystarczy sama nadzieja, sama walka?“ Strug pomyślał człowieka,

który zniszczył wszystkie wiary, który został „sam na sam ze swoją krzywdą“, człowieka, który już nie chce czekać. Ale ten człowiek niema sił do życia, pożąda śmierci, ginie. Człowiek ten nie wystarcza. Strug czuje, że zagadnienie tkwi głębiej. Aby je odszukać, trzeba conajmniej stać poza wszelkiemi wiarami — powiem — ponad wiarami. Strug tkwi w prawdzie ludzi podziemnych i jest ich rapsodem. Był pod Troją, nie może nie wiedzieć o Prometeuszu wyzwolonym.

Kraków. *Edward Hoszowski*

Teatr.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Lwów może utrzymać tylko jedną wielką polską scenę. Dowodem, że tak jest, jest istnienie tylko jednej polskiej sceny w tem mieście. Publiczność uczęszczająca do teatru już w najlepszym razie po dwutygodniowej kadencji (liczę bardzo optymistycznie, jeśli się weźmie pod uwagę, że teatr co tydzień daje jedną a nawet kilka premjer) wyczerpuje się i powraca odnowa. Czemże więc przez takie dwa tygodnie karmi się lwowianin ze sceny teatru miejskiego? Za wyjątkiem cyrku, koniny, słowem, menażeryjnej dziczyzny, karmi się wszystkiem. Nie przesądzamy kwestji. Cenna to rzecz w tych ciężkich czasach strusi żołądek, zwłaszcza jeśli chodzi o pojemność w stosunku do mnogości spożywania. Jeśli jednak przyjmie się pod uwagę, że w sztuce, że w sprawach sztuki, myśli, ducha nie mnogość a jakość główną odgrywają rolę, to będziemy się musieli ze smutkiem zresztą zgodzić, że lwowianin nie wiele ma danych, by odróżnić szparagi od ziemniaków, Miłość cygańską od zresztą również cygańskiego Manru (Nomina sunt odiosa); Wielkiego Fryderyka od mówionego wodewilu Nowaczyńskiego p. t. Wielki Fryderyk, Panny Maliczewskiej od postulatu jakiej takiej komedji obyczajowej, Kordjana Słowackiego od Kordjana na scenie lwowskiej. Będziemy się musieli zgodzić, że lwowianinowi trudno jest odróżnić artyzm od aktorstwa, patos od patetycznej bezmyślności, granie roli przez aktora, czy aktora granego przez rolę. (Są tu we Lwowie aktorzy tak osobliwie osobiści, tak nie dający się niczem z osobistości swych wyprowadzić, że raczej cesarz Mikołaj gra w kordjanie p. Hierowskiego, niż ten ostatni cesarza). Wreszcie, wogóle że trudno lwowianinowi odróżnić granie od udawania.

Cóż więc robi lwowski teatr? Wszystko co się podoba publiczności. Wszystko. Ponieważ jednak nikt wszystkiego naraz dobrze robić nie może, przeto teatr lwowski robi wszystko niedbale lub źle. To wina dyrekcji! Dyrekcja winna uczyć, pouczać, kształcić, budować itd. Tak jest. W jednym jasno wytkniętym zakresie winnaby. Ale dyrekcja lwowskiego teatru, jednego teatru, jednego talerza na który łakoma wola miejskich umów i zobowiązań narzuca operę, operetkę, wodewil, farsę, dramat

i komedję? Wszak za granicą, a nawet w Warszawie każdy z tych działów ma swój odrębny gmach i własną scenę! Wszak lwowski teatr to instytucja dzięki wielości zamkniętych w sobie działów, z kasowej natury rzeczy samobójcza, samo-jedcza, pożerająca się każdem przedstawieniem. Dobry dramat rujnuje frekwencję opery, operze szkodzi operetka, operetce farsa. Teatr ponosi ciężary pięciu teatralnych trup, zaś co wieczór ma do rozporządzenia zamiast pięciu wieczorów (ewentualnie scen) jeden wieczór, jedną scenę.

Może gdyby między zjednoczonemi dziewięciu muzami z plafonu gmachu nastąpił rozdział, możeby wtedy dyrekcja... Możeby wtedy mogła zająć się kulturą teatru. Możeby wystawiła cały szereg oper w ich dziejowym rozwoju, jako formy od Orfeusza Montoverdi'ego przez komplet oper Glucka, Mozarta aż do naszych czasów z uwzględnieniem rozwoju opery polskiej, pomijając jednak „Pana Wołodyjowskiego“ Skirmunta. Możeby miała czas na szkolnych przedstawieniach dla młodzieży dać wybór dramatów, tragiedji i komedji Szekspira (ale nie tak „operowo“ jak to się dziś dzieje np. z Romeo i Julją“), poprzedzając każde z przedstawień pogadanką literacką. Możeby to samo przeprowadziła na tle sztuki polskiej. Możeby zdołała poziom ospałego aktorstwa np. w Kordjanie wydźwignąć do poziomu artyzmu, na jakim stanął p. Żelazowski, któremu znękana całością Kordjana publiczność za świetną postać W. księcia Konstantego urządziła zasłużoną owację. Ba! Możeby wtedy teatr przestał być mówionym kinematografem...

Juljusz Kaden.

Książki i prasa.

Percy Aschley. — Zarząd centralny i lokalny w Anglji, Francji, Prusiech i Stanach Zjednoczonych. Lwów. Tow. Wydawnicze. Studjum to porównawcze angielskiego profesora ukazało się obecnie w polskiem tłumaczeniu, zaopatrzonem uprzejmie przez autora w osobną przedmowę. Więc oświadcza autor, że „wysoko sobie ceni to, iż książka jego ukazuje się w przekładzie polskim“, sądzi, że może ona nam oddać niejakie usługi, nasuwając myśli o sposobie „budowania organizacji politycznej społeczeństwa“. I niezawodnie, usługę pierwszorzędną dzieło to oddać powinno polskiemu ogółowi. W okresie świadomego, choć powolnego i mozolnego wytwarzania podwalin do samodzielnego bytu, naród winien nieuchronnie zdobyć się na wysiłek przystosowania do swych potrzeb,— gdzie ma potemu możność — form więzi społecznej; powinien się wysilić na twórczość organizacyjną w publiczno-prawnem znaczeniu. Straciliśmy w tym kierunku wątek perspektywy rodzimej, ewolucyjnej, — w trosce o budowę trwałą życia politycz-

nego musimy go choć w pewnym stopniu odszukać. A już w każdym razie winniśmy się krytycznie zachować wobec ram ustroju niemiecko-austrjackiego, w które wciśnięto społeczeństwo w chwili bezwładu. Uzyskanie tedy szerokiej, swobodnej perspektywy na wszechświatową twórczość polityczną byłoby zdobyczą doniosłą. Studjum więc angielskiego prawnika, ujmując w sposób porównawczy zasadnicze tendencje współczesnej teorji i praktyki zarządu, daje ów pożądany materjał zasadniczy — w pierwszym rzędzie przez jasne przedstawienie zupełnie odmiennych niż na kontynencie zasad zarządu publicznego w Wielkiej Brytanji. Im częściej będziemy odświeżać zastarzałą atmosferę jednostronnych niemieckich wpływów, tem łatwiej znajdzie słaby jeszcze organizm narodu drogę do właściwego sobie rozwoju.

W ostatnim zeszycie „Świat Słowiański" ogłasza artykuł jednego z Rusinów o rozłamie wewnątrz społeczeństwa ruskiego w Austrji. Jest to rzecz dłuższa, w spokojnym tonie trzymana — na celu ma oświetlenie nieporozumień wewnętrznych ruskich z punktu widzenia tzw. u nas „moskalofilów".

Artykuł p. Swistuna niczego praktycznie nie rozstrzygnie, ma jednak duże orjentacyjne znaczenie dla społeczeństwa polskiego. Wysilamy się, nagleni koniecznością uporządkowania sprawy ruskiej, w wynajdowaniu wszelakich paktów konwentów z ludnością ruską. Określamy arbitralnie nasz stosunek do dwu odłamów tej ludności we Wschodniej Galicji — przyczem jednak rozstrzygają albo dotychczasowe nawyknienia polityczne, albo nawet na odległą metę zakreślone kombinacje dyplomatyczne. I w jednym przecież i w drugim wypadku zdobylibyśmy pewniejszy grunt do działania i możność objęcia dalszej perspektywy na przyszłość, gdybyśmy potrafili gruntownie, rzeczowo ocenić żywotność nurtujących dziś w społeczeństwie ruskiem prądów rasowo-kulturalnych i politycznych. Bliższej znajomości tych prądów dziś nie mamy, zaskoczeni zewnętrznie bardziej dotkliwem szturmowaniem jednego z odłamów ludności ruskiej do naszego stanu posiadania. „Świat Słowiański", poddając krytycznej uwadze naszej myśli politycznej informacje p. Swistuna, wyświadcza dobrą w tem znaczeniu przysługę.

Horatius cassubicus. W miarę wzrostu — z pobudek politycznych — zainteresowania się społeczeństwa naszego sprawami wybrzeża gdańskiego, rosną zaciekawienie i sympatje dla kaszubskiego „Gryfa". W piśmie tem z niepokojem szukamy zapowiedzi dalszych losów ruchu polskiego w Kaszubszczyźnie. Listopadowy zeszyt, poza właściwą sobie ciekawą treścią, mieści i niespodziankę dla — zwolenników poezji klasycznej. Zaprawdę niespodzianką jest podana w tym zeszycie garść poezji starego miłośnika „wsi spokojnej" i wygodnisia nadtybrzańskiego — Horacego, gdzieś w dwa tysiące lat ujęta w szatę surowego narzecza pomorzan bałtyckich. Prochy wykwintnego sybaryty łacińskiego musnął świeży powiew żywej pamięci z północy... Multaque pars mei vitabit Libitinam...

Jeden z najbardziej naturalnych, szczerych dzienników warszawskich, nieskrępowanych — co u nas dziś rzadko — nakazem i zakazem partyjnym, „Dzień“ obchodził niedawno drugą rocznicę swych urodzin, wydając urozmaicony, obszerny numer upominkowy. Nie matusalowy to wiek, ale uwierzmy zapewnieniom redakcji, że w ciężkiej pracy minęły te dwa pierwsze lata dla niezależnego, często ryzykownie śmiałego pisma. Dzięki wytężonej energji redakcji, „Dzień“ pociąga swą wszechstronnością, swym nerwem dziennikarskim i szerokiem uwzględnieniem wszelkich odgałęzień życia polskiego. *K. M.*

Książki nadesłane do Redakcji.

Prof. Dr. Roszkowski Gustaw: Über die neuesten Staatsverträge Österreich-Ungarn mit Rumänien. **K. Grądzielski**: Dzieje literatury polskiej — Książka — Kraków. Regulamin musztry „Związku strzeleckiego“ — „Życie“ — Kraków. **J. W-i**: Królestwo polskie jako teren strategiczny — Warszawa — nakładem autora. — Stan dzisiejszy organizacji socjalistycznych i robotniczych — „Życie“ — Kraków. **Wiktor Kuzniar**: Z przyrody Tatr — Skład główny u L. Frommera, Kraków. **Dr. E. Kiernik**: Życie w nurtach oceanu — Kraków 1910 — u L. Frommera. **Marceli Sachs**: W pewnym domu — Lwów 1910 — Księgarnia Polska. **Marceli Sachs**: Płomienie Brzozowskiego — Lwów 1910 — Księgarnia Polska. **Adam Szymański**: Lew Tołstoj — Kraków 1910 — nakładem autora.

Prenumerata kwartalna w Austrji 2 kor. 50 gr. z przesyłką pocztową 2 kor. 70 gr. Cena jednego zeszytu 50 groszy; w Niemczech kwartalnie z przesyłką pocztową 2 marki 50 fen., cena jednego zeszytu 50 fen.; w Królestwie i cesarstwie kwartalnie 1 rb. 30 kop., z przesyłką pocztową 1 rb. 50 kop.; cena jednego zeszytu 25. kop.

Adres Redakcji: Lwów, ul. św. Marka 6.
Adres Administracji: Lwów, ul. Czarnieckiego 3.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i biura dzienników.

Warszawa
G. Centnerszwer i Ska
Marszałkowska 143.

Lwów
R. Landau
Czarnieckiego 3.

Odp. red.: Marjan Olszewski.

Z drukarni Piller-Neumanna Łyczakowska 3.

Drukarnia i litografja Piller-Neumanna we Lwowie.